dylemat 3



demokracja na czworakach 4–5



królestwo Fiskusa 7



próba sił 11



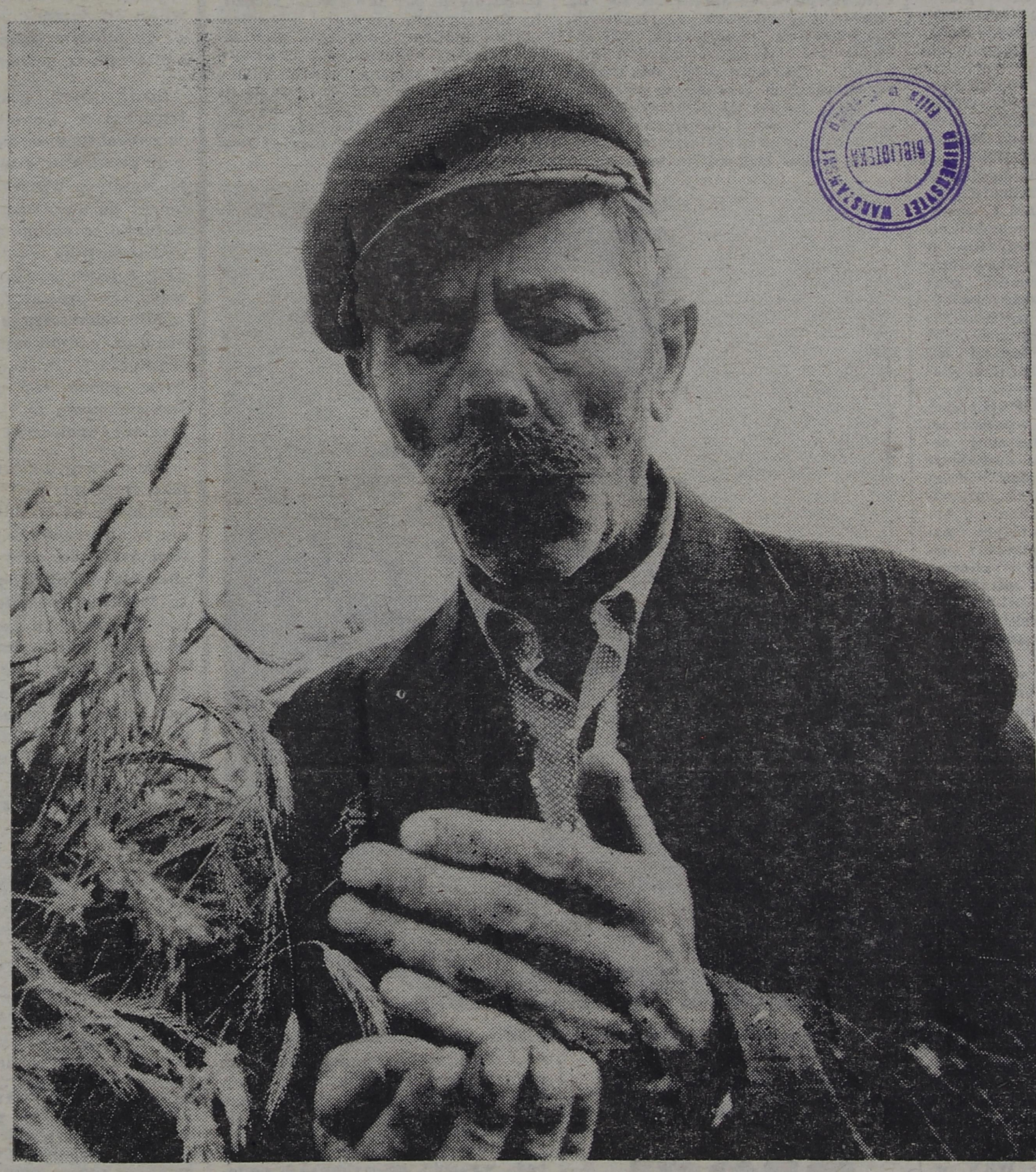
reduta pasożyta 12–13

wio łomżyńskie konie 14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

32
(59)
KONTAKTY
16 VIII 1981
Cena 6 zł



CZYTELNIK WAM ZA... BIBLIOTEKA

Fot. GABOR LÖRINCZY

odciski na kłosach

WŁADYSŁAW TOCKI

Jeszcze ostatnie, delikatne muśnięcie osełką, zgięcie grzbietu, półrozkrok, rozmach lekki i -szszut, szszut — wali się przygarść dojrzałego żyta. Za mną, cięcie po cięciu, skrzętna dłoń gospodyni podnosi kłos za kłosem. Marny kłos, krótki, pustawy, z przyschniętym, zapyziałym ziarnem, niezdolnym przygiąć nawet zetlałego źdźbła słomy. I kośba marna. Zmierzwiony, zwalony, przerośnięty trawą zagon, że podchodzić, podgryzać ze wszystkich stron trzeba, by pokos jaki taki położyć za sobą.

— Podpaliłby człowiek w cholerę, przeorał — zżyma się gospodyni. — Tylko niehonor nie zebrać tego, co wsiane

Gospodyni, Kazimiera Zalewska, zżymać się ma prawo. W rozległych miedzach prawie dziesięć hektarów, a w gospodarstwie jeden człowiek do roboty. I to kto? Baba! Niepełnosprawnego syna i męża po wylewie liczyć przecież nie można choćby za pół robotnika. Mężowi doktor z kliniki w Białymstoku wielkiego wyboru nie zostawił: „Chcesz pan pożyć, panie Zalewski? To z robotą koniec"

— Miałam jednego drwala, co rąbać potrafił tylko z talerza — ironizuje nad swym losem — tak i mam drugiego.

Nie to jest jednak najgorsze. Pług radło, widły, to dla kobiety ze wsi nic nowego, ale już lata nie te, więc sił zaczyna brakować. Inaczej sama za kosę by chwyciła, żadna to w końcu filozofia. Ba, mało to razy człowiek pęchra z wysiłku puścił, a robić musiał?

Na pole Antoniego Zalewskiego jako młody, silny, z posuchą w kieszeni trafiłem dzięki ogłoszeniu zamieszczonemu przez moje redakcyjne szefostwo w „Gazecie Współczesnej". Kiedy jednak pojawiłem się w Burzynie, by wstępnie omówić warunki, gospodyni — najwidoczniej nie zachwycona moją posturą, kiepsko raczej kojarzącą się z Herkulesem, zastrzegła się lojalnie: — Za-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

cyrograf za odnowę

ADAM JERZY SOCHA

— Nie puszczę swołoczy! — dziadek nastroszył się jak kwoka, której chcą jajka podebrać, i pogroził niewidzialnemu wrogowi sękaczem: — Wojtuś! Z wnusiem pilnujem, żeby cholera do zagrody nie wlazła.

Z bujnego zielska w kącie ogrodu wyskoczyła jak piłka jasna główka dziecka.

— Czego, dziadku?

— Widać co? — zachrypiał dziadek.

— Nieee, tylko pijany Leon gada do krowy — czuprynka zapadła z powrotem w zieloną kryjówkę.

— Tak, panie redaktorze, już się nie damy podejść tej odnowie, będziem gnać, gdzie raki zimują.

CIĄG DALSZY NA STR. 8–9

zdarzenia



5 sierpnia od godz. 10.00 do 12.00 trwał ogłoszony przez NSZZ „Solidarność" — Region Mazowsze, dwugodzinny strajk ostrzegawczy, do którego przystąpiły zakłady przemysłowe województwa z wyjątkiem pracujących dla rolnictwa i związanych z żywieniem. Według danych Urzędu Wojewódzkiego w Łomży w strajku uczestniczyło 16 procent zatrudnionych, czyli około 5200 osób z 22 zakładów.

W największej w Łomży fabryce, Łomzyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego koszty strajku starano się ograniczyć do minimum — nie wyłączono kotłów i maszyn, na zwolnionych obrotach pracował oddział przygotowania produkcji, klejarnia i wykańczalnia. Około piętnastu pracowników wznosiło zakładowe przedszkole.

Przez wywieszenie flag, wystawienie wart strajkowych i przerwanie planowych zajęć szkoleniowych zaprotestowała pierwsza zmiana w Wojewódzkiej Komendzie Straży Pożarnych.

Do strajku przystąpiły również załogi komunikacji miejskiej, WZEC i KRGP „Korgaz" oraz ZZPB, zambrowski „Telkom" i Zakłady Mechaniczno-Precyzyjne „Mera-Błonie", a także oddział NBP i Bank Spółdzielczy w Wysokiem Mazowieckiem.

Nie przerywali natomiast pracy budowlani wznoszący przedszkole na osiedlu Jantar. — Podyktowane to było — oświadczył przewodniczący KZ NSZZ „Solidarność" przy ŁPB — chęcią jak najszybszego oddania tego obiektu do użytku.

W czasie trwania strajku w UW odbyły się rozmowy delegacji KZ NSZZ „Solidarność" z ŁZPB z władzami wojewódzkimi.

W LATACH PROPAGANDY SUKCESU — w wyniku wprowadzenia nie do końca przemyślanej reformy szkolnictwa — na dowożenie zostało skazanych 10 tysięcy dzieci, pomimo iż rodzice ich sprzeciwiali się takiemu rozwiązaniu. Argumentowali to: całodziennym pobytem dziecka poza domem i znikomym wpływem ich na wychowanie, brakiem czasu na odrabianie lekcji, wreszcie wyczerpaniem psychicznym i fizycznym wskutek codziennego rannego wstawania, tułania się po przystankach autobusowych itd. Ówczesne władze oświatowe obiecały ich dzieciom niemal szklane szkoły, wyposażone nawet w stołówki, nie mówiąc o bibliotekach, świetlicach, pracowniach specjalistycznych.

Gminna Szkoła Zbiorcza w Małym Płocku czy Klukowie osiągnęła ten poziom, bo odbywały się w nich inauguracje centralne. Jednakże dziesiątki pozostałych szkół w województwie łomżyńskim wyglądem swym przypominały nadal tradycyjne szkółki: łączone klasy, brak boiska szkolnego i sali gimnastycznej, pracowni, nawet wystarczającej liczby sal lekcyjnych, wskutek czego wykorzystywano na ten cel prywatne mieszkania. Była więc napuszona propaganda o nowoczesnym szkolnictwie i smutna, beznadziejna rzeczywistość.

W roku szkolnym 1980/81 rodzice dowożonych dzieci zgłosili do Kuratorium Oświaty i Wychowania 109 wniosków w sprawie zmian w sieci szkolnej, domagając się uruchomienia pozamykanych na cztery spusty budynków w wielu wsiach. Do 63 próśb Kuratorium ustosunkowało się w sposób pozytywny.

W wyniku tej reogranizacji liczba uczniów dowożonych i dojeżdżających zmniejszy się o około 4 tysiące, czyli zaledwie 40 procent. Pozostałych 60 procent będzie musiało zadowolić się rozwiązaniami z roku ubiegłego: dojazdem eskaerowskim środkiem lokomocji, najczęściej ciągnikową przyczepą prowizorycznie obitą deskami lub liczeniem na autobus i oczekiwaniem na niego na przystankach.

Ostatnia reforma szkolnictwa chyba na stałe uświadomiła łomżyńskim władzom oświatowym sentencję, iż łatwiej szkoły się likwiduje, spędzając dzieci do jednej niż tworzy nowe, czy odrestaurowuje stare.

WALKA ZE SPEKULANTAMI TRWA. Tylko w ciągu czterech dni, od 4 do 7 sierpnia, 681 milicjantów, żołnierzy WSW, ormowców, pracowników PIH-u oraz przedstawicieli Komisji Kontroli Społecznej i związków zawodowych skontrolowało na terenie województwa 17 targowisk, 650 placówek handlowych, 127 samochodów dostawczych. Wyniki kontroli, skromniejsze wprawdzie od oglądanych ostatnio w telewizji, świadczą jednak, iż pomimo zwiększonej czujności i zaostrzenia sankcji nadal nie brakuje amatorów łatwego zysku. Dotyczy to szczególnie handlu „za ladą", gdzie w 43 przypadkach stwierdzono m.in. ukrywanie towarów lub pobieranie zawyżonych cen. Zatrzymano też kierowcę-konwojenta, który zamiast dostarczyć 255 butelek wódki do sklepu, zaopatrywał meliny. Za te i inne przewinienia ukarano mandatami 60 osób, przeciwko 7 wszczęto postępowanie przygotowawcze, 2 zatrzymano do dyspozycji prokuratora.

LITOŚCIĄ NIE WYKOSISZ. W wielu gminach, na przykład w Wiźnie, rozdział sprzętu tak zamącił w głowach członków zarządów gminnych związków kółek i organizacji rolniczych, iż zupełnie zapomnieli o zorganizowaniu pomocy dla rolników w podeszłym wieku, chorych lub samotnych kobiet — zabrakło list składanych w ZUM-ach i SKR-ach, a gwarantujących im pierwszeństwo usług. Zdani są więc na siebie, łaskę i niełaskę sąsiadów, litość traktorzystów, kierowników Zakładów Usług Mechanicznych i dyrektorów Spółdzielni Kółek Rolniczych.

ACH, CÓŻ TO BYŁ ZA SUM! Gdy wynurzył na chwilę swe 32-kilogramowe cielsko wywołał popłoch wśród wędkarzy: żywo przypominał potwora (patrz zdjęcie). Wodził łowiącego przez godzinę po półtorakilometrowym odcinku rzeki i wodziłby dalej, gdyby nie trafił niepatrznie na mieliznę, gdzie opór jego został złamany. Sławomir Paras z Łomży, którego spining okazał się dla suma pechowym, podaje przepis na złowienia taaakiej ryby: żyłka „5", błysk „Alga 2", nad Biebrzą we wsi Rutkowskie gm. Wizna. Proste? Proszę spróbować.



na przyjaznych szpaltach »POLITYKA«

Wśród licznych i różnorodnych głosów na temat pism regionalnych interesująca jest wypowiedź Kazimierza Koźniewskiego na łamach „Polityki" (nr 32, „Tygodniki trzeciej siatki"). Na podstawie półrocznej obserwacji autor dokonał oceny wszystkich ukazujących się obecnie w Polsce tygodników regionalnych. Zwrócił uwagę na ich funkcję w środowisku, zawartość treściową. Jego zdaniem nie wszystkie wypełniają swoje podstawowe zadania: prezentację miejscowych problemów, opinii całego wojewódzkiego środowiska społecznego, nie ułatwiają startu młodym publicystom, poetom i pisarzom ze swojego rejonu.

Sporo uwagi poświęcił również łomżyńskim „Kontaktom": *„robione są z redaktorskim biglem. Wychodzą poza granice województwa. Publikują pisarzy z Warszawy i z całej Polski. Są wynalazcze w pomysłach. Ostatnio w paronumerowym ciągu przedrukowują co ciekawsze artykuły z legendarnego październikowego »Po prostu« [...] Ich młodzi z reguły redaktorzy wkładają ogromnie dużo energii reporterskiej, publicystycznej, inwencji i inteligencji, by ich pismo rzeczywiście istotnie funkcjonowało w świadomości kulturalnej i społecznej regionu".*

Autor zwraca również uwagę na fakt, że „Kontakty" są pismem nie stroniącym od konfliktów. *„To właśnie w »Kontaktach« wynikła awantura, która swe echo znalazła — i to obszerne w majowym numerze «Prasy Polskiej«, organie SDP. W łomżyńskiej redakcji podjęto po pięćdziesięciu latach dawną inicjatywę »Kuźni Młodych« na pamiętnik nastolatka. Pamiętniki przysłano z całego kraju, co świadczy o zasięgu pisma. Obok banalnych zwierzeń sztubackich — pojawiły się teksty znacznie ciekawsze, w tym jeden, który sprowokował skandal — jedyny tego rodzaju w naszej obecnej prasie."*

Mimo że cała ocena K. Koźniewskiego pism regionalnych nie wypadła zbyt korzystnie dla wszystkich, uważa on, że *„owych dwadzieścia kilka »tygodników PZPR« należy zapisać na rachunek bezwarunkowych zysków tej dekady".*

punkt widzenia

ryba prosi o głos

Niebezpiecznie jest urządzać sesje WRN w gmachu Liceum. Radnym mury szkoły niezmiennie kojarzą się z wagarami: VIII Sesję WRN w dniu 31 lipca 1981 roku zaszczyciło tylko i aż 56 osób na 110 zasiadających w Radzie. Wagary jeszcze jednej osoby i sesję zaraz po otwarciu trzeba by zamknąć z powodu braku quorum. Głównym punktem obrad była drastyczna sytuacja mieszkaniowa województwa, jak i budownictwa w ogóle. Z tą sesją duże nadzieje wiązało wielu wyborców z Łomży, zwłaszcza matki dzieci, którym zabrakło miejsca w przedszkolach. Wiadomym było, że ktoś zgłosi interpelacje w związku z niewywiązywaniem się władz miasta z porozumienia zawartego z „Solidarnością" w sprawie zapewnienia wszystkim dzieciom, których podania odrzucono, przedszkola do dnia 1 września br. Wokół tego problemu, w mieście od paru dni narastało napięcie. Sesja mogła przynieść jego rozładowanie.

Istotnie interpelacje zostały zgłoszone. Po tym przewodniczący zarządził krótką przerwę, apelując — nauczony smutnymi praktykami radnych — o powrót na salę.

Quorum utrzymywało się, póki w bufecie można było nabyć bezkartkową kiełbasę. Gdy tego magnesu zabrakło — sala zaczęła świecić łysinami. Projekt uchwały, przedłożony do głosowania, zastał tylko 36 radnych. Trzeba było przerwać sesję i odłożyć na inny termin.

Przewodniczący WRN usprawiedliwiał tak liczną nieobecność żniwami, gdyż 60 proc. radnych to rolnicy. Żałosne tłumaczenie. Wobec tego sesje powinny odbywać się koło świąt Bożego Narodzenia oraz Wielkiej Nocy i wystarczy. Po żniwach będą wykopki, po wykopkach omłoty... Przyjmując na siebie rolę reprezentanta interesów społecznych, radni musieli zdawać sobie sprawę z powinności wobec wyborców. Wszak zasiadanie w organach władzy przedstawicielskiej to ponoć zaszczyt, dowód społecznego zaufania.

Taka sytuacja, jak podczas VIII Sesji, nie jest niestety czym nowym w praktyce funkcjonowania WRN. Z wielkimi oporami udaje się skompletować quorum, a później utrzymać je do momentu głosowania. Pora przerwać tę farsę, która nikogo nie śmieszy, a wystawia najgorsze świadectwo instytucji władzy przedstawicielskiej. Nieudolność administracji jątrzy społeczeństwo, które dotąd tolerowało istniejący bałagan, czekając aż władze same się odnowią. Ostatnio podjęte kroki dowodzą, że skończył się czas umizgów..

Autentyczne przedstawicielstwo jest w tej chwili naszemu regionowi niezbędne, by rozstrzygało konflikty na linii: władze — związki zawodowe. Jeśli tak dalej pójdzie obecna WRN, która wytrwale pracowała nad tym, by pozbawić się resztek autorytetu w oczach opinii publicznej, w roli czynnika mediacyjnego coraz bardziej upodobni się do słonia w składzie porcelany. Nie będzie w mocy przemawiać wiarygodnie w imieniu Społeczeństwa. Jej powoływanie się na wyborców będzie w tym stanie rzeczy uzurpacją.

Nie stawiam pod wspólny mianownik wszystkich radnych z obecnej Rady. Wielu przejawiało szczerą troskę o ludzkie bolączki. Ci, w przyszłości mogą się nie obawiać egzaminu wyborczego. Co zatem zrobić, by ryba tj. społeczeństwo, które uczyniono biernym za sprawa biernych radnych, znów odzyskała głos?

Gdy WRN wagaruje — budzi się samowola administracji. Stoimy przed alternatywą: albo reanimacja Rady, albo większe dostawy kiełbasy na sesje WRN

ADAM JERZY SOCHA

polski dylemat

nadzieje i zwątpienia

Już blisko osiem miesięcy trwa nasza ogólnopolska ankieta pod nazwą: „Polski dylemat — nadzieje i zwątpienia". W miarę upływu czasu coraz bardziej pogmatwane i dramatyczne staje się nasze życie codzienne. Częstokroć więcej w nim miejsca na bolesne znaki zapytania i zwątpienia niż na krzepiącą nadzieję. Potykając się o ostre kamienie i raniąc dotkliwie większość z nas — bo przecież nie brak i takich, co nam w tym przeszkadzają — wciąż uparcie poszukuje mocnego gruntu socjalistycznej odnowy.

Nasza rozciągnięta w czasie ankieta w sposób — jak się wydaje — niebanalny oddaje klimat i atmosferę tych poszukiwań, dostarcza sporo faktów, spostrzeżeń i diagnoz społecznych do zbiorowych przemyśleń na temat: dokąd zmierzasz, Polsko!

Będziemy ją nadal kontynuować. Dotychczas zabrali w niej głos: Stanisław Albinowski, Andrzej Bartosz, Zbigniew Bauer, ks. prof. Antoni Boszko, Wacław Daruk, Adam Dobroński, doc. dr Bronisław Gołębiowski, Zygmunt Grygo, Henryk Gryko, Stanisław Gucwa, Gustaw Holoubek, Marek Adam Jaworski, Szymon Kobyliński, Piotr Kuncewicz, Stefan Maciejewski, prof. dr Jan Malanowski, prof. dr Ryszard Manteuffel, doc. dr Bogdan Michalski, Włodzimierz Michaluk, Edward Osóbka-Morawski, doc. dr Andrzej Piekara, Wacław Redliński, Marek Rymuszko, prof. dr Jerzy Szacki, Andrzej Tchórzewski, Marcin Wolski, Zbigniew Zapasiewicz, Andrzej Zimowski.

Tak się złożyło — o czym z satysfakcją informujemy — że nasza ankieta wyprzedziła nieco podobną inicjatywę Wydawnictwa „Iskry" (o przeszło miesiąc). Na pytanie „Iskier": „Co Pana najbardziej niepokoi i z czym wiąże Pan największe nadzieje? — odpowiedzi udzielali (podobnie jak w naszej ankiecie) wybitni przedstawiciele nauki, kultury, publicyści, działacze społeczni. Zbiór tych tekstów, zatytułowany: „Niepokoje i nadzieje", ukazał się sygnalnie w dniach IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Uznaliśmy za celowe zapoznanie naszych Czytelników z kilkoma wypowiedziami z tej ankiety, idącej jakby tropem inicjatywy „Kontaktów".

Adam Burda: by okiełznać zło

(...) Niepokój, jaki budzą przejawy anarchii, wiąże się bezpośrednio z niepokojem, jaki wywołują coraz nagminniej występujące wypadki negliżowania i drastycznego naruszania prawa. Rzeczników odnowy nie może w żadnym wypadku usprawiedliwiać fakt rażących naruszeń prawa przez uprzednich dzierżycieli władzy państwowej. Potępienie stanowcze tamtych nie może służyć jako dyspensa od przestrzegania nakazu praworządności dla potępiających — wszak potępiają w imię dobra publicznego i w imię naprawy Rzeczypospolitej. W przeciwnym przypadku będzie miał rację postronny obserwator, gdy powie: „zamienił stryjek siekierkę na kijek". Kij a siekiera to tylko różnica stopnia skuteczności, jedno i drugie jest symbolem gwałtu. Tak już jest, że za wszystko zło i za każdy błąd trzeba wcześniej czy później zapłacić i nie zawsze płacą tylko czyniący zło.

Prawo jest narzędziem w ręku, dla zapewnienia dobra społecznego i urzeczywistnienia wartości moralno-społecznych, adekwatnych do osiągniętego stopnia rozwoju danej cywilizacji. Dlatego też rozsądny Montesquieu pisał w „ Listach perskich": „Należy wpływać przez wychowanie na ulepszenie prawa, jakiekolwiek byłyby prawa, zawsze trzeba się ich trzymać i widzieć w nich sumienie publiczne, do którego poszczególne sumienia winny się bezwarunkowo naginać" (list CXXIX). Wszak prawo jest po to, by na miarę ludzkich możliwości czynić nas sprawiedliwymi.

Każdy ustrój społeczno-polityczny, bez względu na rodzaj jego motywacji ideologicznej, nie może obejść się bez ładu i porządku. Właściwości rozwoju cywilizacji ludzkiej wyżłobiły w świadomości jednostek i społeczeństw nawyk przestrzegania prawa, a to z racji uznania nieodzowności zachowania więzi społecznej najwyższego rzędu. Konieczne jest jednak związanie autorytetu prawotwórczego w zakresie ustalania treści prawa — w ustrojach demokratycznych jest nim najwyższy organ przedstawicielski narodu — obowiązkiem respektowania aktualnej świadomości moralnej i prawnej danego społeczeństwa.

Realizacja postulatu poszanowania prawa znajdzie najpomyślniejsze szanse w ustroju opartym na demokratycznych metodach sprawowania władzy. To chyba jasne i wszyscy łączą te dwa pojęcia w logicznej jedności, ale niepokoić może uproszczone i opaczne rozumienie zasady demokratycznej jako fundamentu społecznego: jakże często chce się widzieć w niej jedynie proste powiązanie nie znającej granic wolności jednostki z mechanicznym egalitaryzmem. Tylko niski poziom kultury politycznej może być źródłem takiego pojmowania ludowładztwa (tj. demokracji).

Granicą wolności winno być zawsze bezwzględne respektowanie wolności innych członków społeczeństwa i pełne poczucie odpowiedzialności za realizację dobra powszechnego. Zasada równości zaś winna w systemach demokratycznych w ostatecznym rozrachunku pełnić rolę służebną jako środek uzyskania i zagwarantowania jednostce — spętanej węzłami społecznymi — pewnej obiektywnie dopuszczalnej sfery wolności. Zatem idea równości jako świadomie przyjęta zasada regulowania stosunków międzyludzkich — teoretycznie rzecz biorąc — może równie dobrze wiązać się z systemami demokratycznymi, jako i totalitarnymi. W państwie despotycznym na przykład wszyscy poddani zrównani są w poniżeniu i zdani na łaskę arbitralnej władzy. Podporządkowanie się zasadzie równości może także być aktem rozsądnego kompromisu naszych osobistych aspiracji i pędu naszej indywidualności do nadania sobie właściwej zewnętrzności (wszak nasze „ja" wyraża się w odrębności i inności) ze społeczną koniecznością uznania w praktyce cudzych ambicji i cudzej indywidualności.

Obawiam się więc mechanicznego pojmowania demokracji jako prostego amalgamatu egalitaryzmu i liberalizmu, boć to przecież byłaby niedorzeczna i niebezpieczna mieszanka. Demokracja — to przede wszystkim systematyczna i rzetelna kontrola ludzi z aparatu państwowego, rzeczowa dyskusja i głębokie poczucie odpowiedzialności obywatelskiej. Jeśli podejrzewasz innych o zamach na demokrację, przyjrzyj się najpierw samemu sobie i swoim kwalifikacjom na członka społeczności demokratycznej: szczerze poddaj analizie swoje skłonności, namiętności i obywatelskie postawy. Obawiam się, że deklarujący się za demokracją nie kwapi się do zrobienia własnego rachunku sumienia obywatelskiego.

Wiktor Herer, Władysław Sadowski: mity i rzeczywistość

(...) Wydaje nam się, że zamieszkujemy kraj o olbrzymich możliwościach rozwoju. Ten miły sercu jego obraz hołubimy w świadomości, nie lubiąc wgłębiać się w realia; a nuż trzaśnie krucha tkanka mitów, z jakich jest utkany? Jeden z nich karmi przekonanie o olbrzymich bogactwach naturalnych naszego kraju. Tak więc wielu święcie wierzy w to, że z naszych piachów mazowieckich i kamienistych gleb Podkarpacia potrafimy nie tylko wyżywić siebie, ale zostać jeszcze wielkim eksporterem żywności. Tymczasem Polska należy do grupy o najgorszych i najtrudniejszych w Europie warunkach klimatyczno-glebowych do rozwoju rolnictwa i tylko dzięki znacznym nakładom ziemia ta potrafi nas żywić.

Szerzy się kolejny mit, że jesteśmy krajem, który natura z wyjątkową hojnością wyposażyła w obfite zasoby surowców mineralnych. Stąd jeden wielki pożar w Karlinie wystarcza, by ludzie zaczęli uważać, że jeśli pali się tak mocno i tak gwałtownie, to znaczy, że za lat parę staniemy się nowym Kuwejtem i petrozłotówki zastąpią na świecie petrodolary...

Najpoważniejsi nawet publicyści pracują nad utrwaleniem mitu o szczodrym obdarowaniu kraju zasobami naturalnymi, nie zdając sobie sprawy z tego, że rangi źródeł łatwego bogactwa nie nadaje zasobom surowcowym ani ilość rozpoznanych i udokumentowanych złóż, ani obfitość ich rodzajów bądź zasobność w jednostkach wagi, lecz wyłącznie ich charakterystyka ekonomiczna. Wzrost produkcji surowców staje się tylko wtedy szybko i wydajnie źródłem bogactwa narodu, jeśli ich wydobycie w proporcji do ich wartości rynkowej jest stosunkowo bardzo tanie (jak np. wydobycie ropy w Arabii Saudyjskiej). A u nas jest akurat odwrotnie.

Węgiel jest naszym najważniejszym surowcem narodowym. Zgoda. Ale po ten węgiel musimy sięgać do pokładów coraz droższych w kategoriach kosztów inwestycji i eksploatacji, gdyż albo coraz głębiej położonych, albo też zawartych w nowych zagłębiach, które trzeba budować od podstaw. Musimy więc kopać węgiel nie dlatego, że jesteśmy bogaci, ale dlatego, żeśmy zbyt biedni, aby stać nas było na większy import ropy dla własnego użytku. Musimy też wydobywać go na eksport, bo czymś trzeba płacić za niezbędny nam import, a nie mamy innych korzystniejszych alternatyw eksportowych, nie potrafimy zwłaszcza zdobyć się na większy eksport dostatecznie atrakcyjnych jakościowo dla zagranicy artykułów przemysłowych o wysokim stopniu przerobu. Budujemy więc nowe kopalnie wtedy, kiedy RFN, siedząca na olbrzymich pokładach węgla, zmniejsza stale jego wydobycie. Podobnie czyniła dotychczas Francja, która wolała kupować nasz węgiel płacąc zań cenę trzy razy niższą od kosztów jego wydobycia w tym kraju. A jeśli ktoś w Europie Zachodniej zdecyduje się w końcu na budowę nowych kopalń węgla, to nie zrobi tego po to, żeby się bogacić. Zrobi to państwo dotując produkcję węgla i obciążając odpowiednimi kosztami swoich podatników, a uczyni to ze strachu w celu asekuracji kraju w razie odcięcia od zewnętrznych źródeł surowców.

Nie można więc we wzroście wydobycia węgla upatrywać samoistnego źródła szybkiego i łatwego bogacenia się kraju, bo takim źródłem nie jest i w rozsądnie krótkim czasie być nie może. Węgiel jest jednak dla nas życiową koniecznością, bo nie mamy możliwości zastąpienia go innymi, korzystniejszymi rozwiązaniami. Jest też błogosławieństwem, jeśli komuś najbardziej odpowiada takie określenie, gdyż coś trzeba mieć startując do bogactwa, a lepszy trudny węgiel niż gołe dobre chęci. Dlatego ani na chwilę nie wolno zapominać, że choć niezdolny do stworzenia źródeł łatwego bogactwa, może stać się węgiel łatwo źródłem klęski; w ostatnich miesiącach obniżka jego produkcji i eksportu urasta do rangi prawdziwej katastrofy narodowej. (...)

Adam Schaff grzeszyć przeciw rozsądkowi

(...) Tocqueville, jeden z najbystrzejszych historyków i — jak byśmy dziś powiedzieli — politologów ubiegłego stulecia, powiedział kiedyś, że najtrudniejsze w życiu społeczeństw są okresy przejścia od dyktatury i uciemiężenia do demokracji i wolności. Te ostatnie nie są jeszcze w pełni zrealizowane, ale pozwalają lepiej uświadomić sobie nie tylko braki starego reżimu, ale również niedoskonałość nowego. I wówczas następuje najczęściej okres buntu i negacji, chociaż przecież w sposób oczywisty jest lepiej, niż było poprzednio. Obserwujemy nieraz ciekawe zjawisko: ci sami ludzie, którzy w sposób uległy i bez szemrania znosili poprzednio ucisk starego reżimu, zaczynają się nagle buntować i negować wszystko, gdyż nie są zrealizowane ich postulaty; nawet gdy sytuacja jest bez porównania lepsza, a postulatów, o których mówią, w sposób oczywisty zrealizować w danym okresie nie można. Wobec tego wszystko jest złe i należy odrzucić stan istniejący, nawet jeśli to może pociągnąć za sobą przekreślenie już osiągniętych zdobyczy. Jest to dziwny mechanizm społeczno-psychologiczny, który graniczy z irracjonalizmem. Występował on już w innych krajach — Tocqueville mówi o pewnej ogólnej prawidłowości — występuje obecnie i u nas. O ileż wzmocniony przez działanie owej skłonności do anarchii, która leży w charakterze społecznym Polaków w tym sensie, że ukształtowały ją losy naszego narodu.

Nie ulega wątpliwości, że ten stan musi budzić niepokój. Nie ulega też wątpliwości, że należy dążyć do jego przezwyciężenia i że powinna wobec tego istnieć w społeczeństwie siła zdolna do realizacji tego zadania. I z tym właśnie faktem, że ta siła u nas zawodzi, jest związany ów drugi mój niepokój, o którym mówiłem na początku.

Czy się lubi nasz model socjalizmu, czy też nie; czy pochwala jego rozwiązania polityczne, czy też nie, jest faktem, iż system jest oparty na kierowniczej roli partii robotniczej. Podkreślam: nie o to idzie, czy człowiek się zgadza z tym systemem, lecz o to, że taki on jest i wobec tego, jeśli nie można go usunąć — a jak się już rzekło, nie można i iluzjami żywić się nie należy — to silne i dobrze zorganizowana partia robotnicza jest ostoją, której osilna i dobrze zorganizowana partia słabnie, znajduje się w stanie kryzysu, to może być powodem do radości przeciwników panującego systemu — przynajmniej danej formy socjalizmu. Ale jest to radość głupich, jeśli wie się, że danego modelu socjalizmu zmienić nie można. To jest przecież typowe odmrażanie sobie uszu mamie na złość: cóż to bowiem za satysfakcja płynąca z faktu, że partia słabnie, jest bezsilna, jeśli tym samym pogrąża to społeczeństwo w chaos i anarchię, a więc uderza rykoszetem i w owych radujących się przeciwników. (...)

Superdemokratycznie na czworakach

JULIUSZ ŚWIREDO



Na razie jest spokojnie. Stół, zielone sukno, sala wypełniona zbitą gromadą ludzi. Dochodzi dziewiąta. O szesnastej będą wyzywać się od psów.

Święto Odrodzenia. Za stołem naczelnik, dwie panienki z Urzędu Gminy. Z boku — sekretarz partii, a zarazem przewodniczący tutejszej Rady Narodowej.

Wciąż przybywają nowi. Brakuje krzeseł. Tłum zagarnia salkę, sięga prezydialnego stołu.

☆

Zaczęło się jak zwykle. Do redakcji przyszli pokrzywdzeni. Wyjęli dokumenty, popłynęły pogmatwane opowieści, zarysował się obraz ludzkiej krzywdy. Umówiliśmy się na spotkanie za dwa dni, u źródła ich boleści, w Urzędzie Gminy w Wąsoszu.

Czekali w komplecie: Ireneusz Wierciszewski, Antoni Przyborowski, Ireneusz Albiński i jeszcze kilku nowych.

Na pierwszy ogień — referentka ds. rolnych: — Te dokumenty są właśnie u naczelnika Zaraz będą z powrotem.

Wracają z naczelnikiem. Nie ma odwrotu. Naczelnik, czerwony po uszy, prosi do gabinetu. Może jeszcze nie czuje się w roli. Wiem, że tylko pełni od niedawna obowiązki najważniejszego w gminie; dotychczas był w Urzędzie kierownikiem służby rolnej. Zasiadają i wyjmują dokumenty na stół; urzędniczka biegnie po Mocarskiego i sekretarza partii.

— Część bukowiaków kwestionuje prawidłowość przydziału maszyn rolniczych na III kwartał tego roku.

— Ja nie przydzielałem.

— A kto?

— Społeczna Komisja.

Wchodzi Marian Mocarski, kierownik służby rolnej, członek społecznej komisji rozdziału maszyn.

— Panie Mocarski, kto przydzielał maszyny?

— Komisja — głos ma stanowczy.

Rolnicy nie wytrzymują. Pryska skrępowanie gabinetowo-tytularną scenerią: — Jaka komisja, gdzie, kiedy? Sami żeście podzielili, dla siebie i znajomków, bez nas.

Mieszają się zdania, argumenty. Porządkuję rozmowę, z lawiny słów wyłuskuję po omacku najważniejsze zarzuty i dowody. Owszem, jest społeczna komisja rozdziału sprzętu, ale to nie ona zadecydowała o ostatecznej dystrybucji środków produkcji rolnej. Wprawdzie komisja rozdzieliła całą pulę, ale niedługo potem naczelnik z niewielkim gronem znajomych pozmieniał decyzje komisji. Taki np. Stanisław Wiśniewski z Komosewa 11 czerwca dostał ciągnik, a dopiero 16 czerwca tego roku wpłynęło podanie.

— Więc jak to było?

— Mieliśmy posiedzenie prezydium Gminnej Rady, po którym zostaliśmy, by rozpatrzyć skargi w sprawie rozdziału i ostatecznie ustalić, komu dać maszyny.

— Kto uczestniczył z komisji?

— Było razem osiem osób: ja, Mocarski, sekretarz Szumowski, przedstawiciel „Solidarności" wiejskiej i członkowie prezydium Gminnej Rady.

— Komisja rozdziałowa liczy 34 ludzi, o przydziale zadecydowało ośmiu. Członkowie komisji nie dostali powiadomienia na to zebranie — uczestniczący przypadkowo w naszej rozmowie Tadeusz Orłowski z Sulewa-Prus też go nie otrzymał.

Sprawdzamy podanie Wiśniewskiego. Faktycznie wpłynęło 16 czerwca. Jak to się stało, że przed tą datą otrzymał decyzję na ciągnik, nikt z obecnych nie umie wyjaśnić. Rozmowa toczy się z trudem. Jej zasadnicza linia rwie się bez przerwy. Co parę minut przecina ją seria słownych emocji (epitety, posądzenia, niedowierzania), a wszystko to pod adresem skorumpowanej — zdaniem części bukowiaków — kliki w łonie komisji i apodyktycznego naczelnika. Chociaż zdania są jędrne, ale słowa parlamentarne.

Proponują nowe posiedzenie komisji. Mocarski oponuje: — Nie będę więcej dzielił. Niech sobie podzielą sami. Mam dość tego wszystkiego. Naczelnik też niechętny pomysłowi: — Będzie nowy podział i nowe pretensje.

Kilku rolników upiera się przy zwołaniu zebrania. W końcu — zgoda. Nowy spór: o termin. Sztejno rad by problem odłożyć na dwa tygodnie, rolnicy chcą dzielić jak najszybciej. Tłumaczą, że przecież wystarczy wysłać zawiadomienia. Ustalają datę: za tydzień, w Święto Odrodzenia, godzina 9.00, sala konferencyjna Urzędu Gminy w Wąsoszu. Bukowo żąda prawa obecności dwóch obserwatorów z każdej wsi, osobiście nie zainteresowanych przydziałem.

— A kto zechce przyjechać. Robota w polu. Każdy pilnuje teraz swego — rozważa ktoś trzeźwo.

Rozmowa toczy się wokół zasad podziału. — Poprzedni — mówią rolnicy — chociaż społeczny, też nie był sprawiedliwy. Maszyn mało, podań dużo, a komisja boi się naczelnika.

— Co zrobi czterech sprawiedliwych, jak reszta namówiona? — rzuca retorycznie Tadeusz Orłowski.

— Zmienić komisję!

— Ba... — zawiesza się dyskusja, by za moment znów wybuchnąć lawą ludzkich żalów, wyrzucającą na wierzch pomysły na maszynową sprawiedliwość. Przyborowski desperacko czerwienieje: — Puścić ciągniki pod przetarg. Dam bodaj 300, byle traktor był mój.

— A może losowanie?

— Zgoda, losowanie! — podchwytuje kilku.

— E tam, lepiej nie. — Rogowski z Bukowa dostał przydział na ciągnik, a teraz może go stracić. Przybył tu, bo pilnuje swego, a pieniaczowi Wierciszewskiemu jego przydział solą w oku, więc razem z nim przyjechał, by przypilnować, co będzie nań skarżył.

— Losować! — Przyborowski brnie przebojem. Nic nie traci, wszystko przed nim, a w domu żona, troje małych dzieci, gospodarka duża, zaś on ma 35 procent utraty zdrowia.

Już czwarta godzina spotkania. Za drzwiami tłum interesantów. Nie wytrzymuje; bez zaproszenia wypełnia gabinet. Podchwytuje temat. Każdy wykrzykuje swoje nieszczęście. O dalszej rozmowie nie ma co marzyć. Atakują naczelnika, podtykają mu pliki dokumentów, przytłaczają dziesiątkami innych, równie ważnych, spraw, zatargów, interwencji.

Wszyscy są już zmęczeni. Ale dochodzi wiadomość, że wrócił sekretarz Szumowski. Wypraszają postronnych i referują sprawę. Sekretarz dorzuca swoje: — Błąd na górze. Powinien obowiązywać system przedpłat w „Agromie", nie byłoby bałaganu i skłócenia ludzi. Przecież dziś przez te przydziały całe wsie, dawniej zaprzyjaźnione, zieją dozgonną nienawiścią.

☆

Za oknami flagi. Od ósmej w przedsionku — zainteresowani i członkowie komisji. Są też Wierciszewski i Przyborowski. Już poszła fama, że dojdzie do nowego podziału. Ci, co mieli maszyny z ostatniego, boją się je stracić; ci, co nie dostali, są pełni nadziei.

Obrady otwiera naczelnik. Uzasadnia zebranie wieloma zażaleniami, jakie wpłynęły do Urzędu Gminnego i Wojewódzkiego.

— Do Łomży poszły 24 skargi na 685 podań — szepcze mi sąsiadka z referatu rolnego.

W tłum idzie lista obecności członków komisji. Na trzydziestu jeden jest dwudziestu. Można zaczynać. Na razie wszystko biegnie sprawnie i superdemokratycznie. Wybór przewodniczącego zebrania. Padają dwa nazwiska z sali; aplauz przy Andrzeju Brzostowskim. Pierwsze ręce w górze, pierwsze głosy. Ostro, bez ogródek mówią zebrani o oszukańczej dystrybucji sprzętu.

Sala wrze. Zebrani wykrzykują swoje racje z całych gardeł. Przewodniczący Brzostowski wyraźnie nie panuje nad sytuacją. Toczy wzrokiem po sali, bezsensownie wstaje i siada. Reaguje jakby z pewnym opóźnieniem. Naczelnik proponuje weryfikację ustalonej przez komisję listy. Podsuwa do zatwierdzenia projekt zasad przydziału, przyjęty przed tygodniem na spotkaniu z niezadowolonymi bukowiakami: obszar gruntów użytkowych, ilość osób w gospodarstwie w wieku produkcyjnym, data wpływu podania, stan zdrowia ubiegającego się o sprzęt i jego najbliższych.

Ktoś dopełnia — Preferować młodych rolników

Mocarski dorzuca: — Uwzględnić równomierność przydziału na poszczególne wsie.

Stale ktoś przerywa, zmienia temat, wnosi własny punkt widzenia.

— Zgadzacie się? — pyta Stefan Sztejno.

W odpowiedzi słyszy kilkunastogłosowe: — Tak — zagłuszone z miejsca przez resztę sali. Znów każdy forsuje swoje racje, tłum napiera na stół prezydialny.

Udaje się doprowadzić do przegłosowania naczelnikowego projektu rozdziału maszyn, ale sala nadal się gorączkuje. Wreszcie trochę ciszy. Ktoś woła, by odczytać ostatni przydział, a komisja niech powie, komu przyznano słusznie, a komu nie. Na czas czytania robi się cicho, potem znów zgiełk komentarzy. Brzostowski i naczelnik uciszają. Trochę pomaga.

Pada z sali sugestia: — Odczytać skargi kierowane do Łomży.

Ktoś w ostatniej chwili dokłada jeszcze swoją na stół. Zaczyna się sensacyjna część zebrania, Stefan Sztejno czyta: — *„Skarga Przyborowskiego, Wierciszewskiego i Albińskiego z Bukowa. [...] Naczelnik nie ma inicjatywy, kieruje nim sekretarz KG PZPR. Maszyny otrzymują krewni Szumowskiego".* — Sekretarz stoicko czyści paznokcie. — *„Czesław Grabowski. Ostatni rozdział był nieprawidłowy. Nie brano pod uwagę ilości hektarów, parku maszynowego, stanu rodziny, siły roboczej, gwarancji korzystania z maszyn". Maliszewski Paweł, Komosowo. Sekretarz w zmowie z naczelnikiem przydziela znajomkom".* — Paznokcie sekretarza nabierają nieskazitelnej czystości. — *„Stanisław Rawa, Bagienice. Ciągnik dostał Orłowski, bo jest w komisji, a Kryspin, bo jego syn pracuje u naczelnika". „Józef Świderski, Bagienice. Snopowiązałkę dostał traktorzysta z kółka rolniczego".* Itd.

Wstaje Stefan Chyliński: — A dlaczego pan naczelnik moją skargę tylko omówił, a nie przeczytał jej treści?

— Ma rację. Czytać! — woła sala. Chyliński ubiega się o ciągnik C-330; ma 17 hektarów ziemi i 7 osób na utrzymaniu. Żona od ośmiu lat nie jest zdolna do pracy; on chory na korzonki nerwowe.

— A moja skarga? — przebija się głos z tylnych rzędów. — Składałem do gminy.

Znów jazgot. Dalsze czytanie skarg przedłużyłoby zebranie do nocy. Następuje prezentacja obu list: propozycji naczelnika, sporządzonej przed rozdziałem maszyn, i listy komisyjnej. Padają głosy, kogo z listy cofnąć, a kogo zostawić. Tłum wybucha protestem. Brzostowski jest zrezygnowany. Sztejno z trudem przebija się przez kakafonię dźwięków: — To może chcecie, żeby zrobić podział od nowa?

— Tak jest! Od nowa. Wszystko od nowa! — Dwa ostatnie słowa zlewają się w „odnowa" i zbanalizowane już dźwięki nabierają nieoczekiwanej świeżości.

Przewodniczący próbuje przekrzyczeć zebranych: — Proszę opuścić salę. Zostaje komisja!

Część wychodzi, reszta szturmuje stół prezydialny i zasypuje go dokumentami. Brzostowski wciąż prosi o wyjście. Jan Cwalina z Żebrów grzmi na całą salę, że się nie ruszy. Musi zostać, żeby pilnować oszustów. Brzostowski nalega. W sukurs idzie sekretarz partii. Nie pomaga nawet szantaż, że jak nie wyjdą, nie będzie nowego podziału.

— To nie — Cwalinie jest wszystko jedno. Puchockiej z Łempic też: — Nie wyjdę i już! Chcę dostać, co mi się należy!

W drzwiach korek. — Wyjdziem, jak oni wyjdą — pokazują na Cwalinę i Puchocką. Przyborowski też zaparł się i ani drgnie. Morawski nie wytrzymuje, zrywa się z krzesła i rusza do wyjścia. Za nim część komisji. Naczelnik zawraca: — Panie

Z kraju i ze świata
poświęcamy

Morawski, chcesz pan zerwać zebranie.

Cwalina wychodzi, honorowo pokrzykując, że na oszustach mu nie zależy. Robi się przez moment spokojniej, wpada nieco świeżego powietrza. Za parterowymi oknami gęstnieją wyproszeni za drzwi. Puchocka prowadzi krzykliwą kampanię na rzecz sprawiedliwości społecznej. Trzeba zamykać okna.

Zaczyna się komisyjne posiedzenie. Najpierw ciągniki C-330. Idzie sprawnie dzięki przyjętej zasadzie spisywania wszystkich nazwisk z obu list i uzupełniania o tych, co mają najwięcej hektarów. Panienki z działu rolnego pracują na pełnych obrotach, ale i tak procedura spisu trwa długo. Wreszcie jest 18 chętnych. Przy Wilińskim i Juszkowskim jednomyślny krzyk: — Dać! — Naczelnik woli przegłosować. Dwadzieścia rąk „za". Zostaje pięć ciągników na szesnastu kandydatów. Teraz komisja analizuje spis pod względem ilości rąk do pracy i stanu zdrowia. Przy Bazydle sala zgodna: — Dać! — Naczelnik znów prosi o formalność; wypada 18:2. Ostatni ciągnik i jeszcze trzech chętnych. Znów tumult. Zwolennicy Józefa Zaborowskiego przekrzykują stronników Józefa Kiełczewskiego, a wszystkich chcą zagłuszyć popierający Józefa Rutkowskiego. Znów sytuacja staje się ciężka. W sali duszno; drzwi zaryglowane na klucz, okna zamknięte, w szybach wlepione w nas twarze. Szykuje się bałagan, jak w czasie zebrania ogólnego. Sprzeczka przeciąga się. Naczelnik przypomina sobie o głosowaniu. Zwycięża Rutkowski. Z ciągnikami C-360 idzie szybciej. Przegrywają Wierciszewski i Przyborowski.

Przy kopaczkach ten sam rytuał: zbiorowy spis, głosowanie. Już się wydaje, że będzie dobrze, ale salę ponosi co chwila żywioł naturalnych reakcji, energia wyzwolona nieoczekiwaną stawką, wszak niektórzy z nich są również na liście kandydatów. Wystarczy jedno słowo, które ich dotknie, a demokracja uchodzi w zapomnienie. Jest dziewięć kopaczek, a wielu chętnych. Do trzech starających się wiejscy reprezentanci nie mają zastrzeżeń. Kilkanaście rąk w górze potwierdza ich żywioły aplauz dla Grzymkowskiego z Ławska i dwu pozostałych. Grupa obradujących forsuje krzykiem kryterium wioskowe: — Zachować równomierny przydział maszyn na poszczególne wsie, nie dawać kopaczek tam, gdzie poszły ciągniki.

— Dać Gutowskiemu z Modzel, tam najgorsze usprzętowienie.

— Zalesie, kochani, Zalesie! Ja jestem z Zalesia, dotąd siedziałem cicho, ale teraz nie popuszczę. Zalesie przede wszystkim. Nie wpuszczą mnie do wsi bez kopaczki.

Znów demokracja idzie w rozsypkę. Wyraźny impas. — Więcej tu nie przyjedziem. Nie chcemy dzielić. Naczelnik dzielił, niech dzieli dalej, nie chcemy żadnych komisji.

Próbują łączyć po dwóch kandydatów do jednej kopaczki. Nie wychodzi. Może przegłosować poprzedni podział i ostatni? Nie chcą słuchać naczelnika. — A Łempice to co, gorsze? — drze się ktoś ponad jednolitym zgiełkiem ogółu. — Naczelnik forsuje podział według przyjętych przez komisję kryteriów, lecz ona nie chce o tym wiedzieć. Znów krzykliwy chór rozbieżnych głosów. Przez uchylone okno Puchocka rozpoczyna zdwojony atak na komisyjną demokrację. Na przemian piszczy i płacze.

— Ludzie, zastanówcie się — naczelnik nie ustępuje — nikt potem nie będzie zbierał jobów, tylko ja. Ktoś wali do drzwi. Przez okno włazi Wiśniewski.

— Panie Wiśniewski, wyjść z sali, wyjść.

— Ja mam trzynaścioro dzieci, możecie mi przydział zabrać, ale pamiętajcie o moich dzieciach!

— Wyleź, Geniek, nikt ci nie zabiera — uspokaja znajomy wielodzietnego. Sekretarz proponuje ustalić, gdzie poszły kopaczki w poprzednich kwartałach. Dostały Łempice i Zalesie. Delegat Zalesia tylko na chwilę jest zbity z tropu. — Zalesie, kochani, przede wszystkim Zalesie. A jak do Wąsosza poszły w II kwartale, to co, wypominam?

Puchocka wali w szyby.

Wreszcie kompromis: podzieli się wpierw inne maszyny, a kopaczki zostaną na koniec. Starszy rolnik nie chce pamiętać, że głosował za kryteriami: — Produkcję uwzględnić, nie hektary.

— Jak to: produkcję? — przerywają mu. — Machorę można hodować i będzie dochód, a ziemniaki i zboże kto będzie produkował?

— Mają rację — krzyczą ci za oknem.

Okno atakuje Przyborowski. Przełazi przez parapet. — Nie opuszczę sali. Jak byli utargi na kopaczki, to dlaczego nie było na ciągniki?

Zmęczona komisja toleruje go w tylnym rzędzie. Dyskusja zbacza znów na temat zasad przydziału. Puchocka drze się o pomstę do nieba, a w sali krzyczą: — Za żywiec dawać maszyny!

Już piąta godzina obrad, bez przerw, bez jedzenia, dla tych za oknem — w zimnie i siąpiącym deszczu. Staje temat przydziału młockarni. Wieść idzie za okno. Szturm na parapet. Gramoli się Siedlecki. — Jak to, dwie młockarnie do Wąsosza? Złączyć kandydatów — kłuje w oczy dokumentami.

— Dać mu — przychyla się komisja i wreszcie może wrócić do kopaczek. Teraz idzie sprawniej.

O szesnastej podział się kończy. Następuje odczytanie ostatecznych rezultatów. O głos prosi Łempicki: — Daliście ciągnik Orłowskiemu, który ma 11 hektarów, a Józef Świderski ma 48 hektarów, 76 lat i 72-letnią żonę. Nie dostał, bo Orłowski siedzi w komisji, a Świderski nie.

— To dlaczego pan na mnie głosowałeś, no? — zrywa się z krzesła Orłowski. — Pan żeś pierwszym psem, jeśli tak mówisz, boś na mnie głosował.

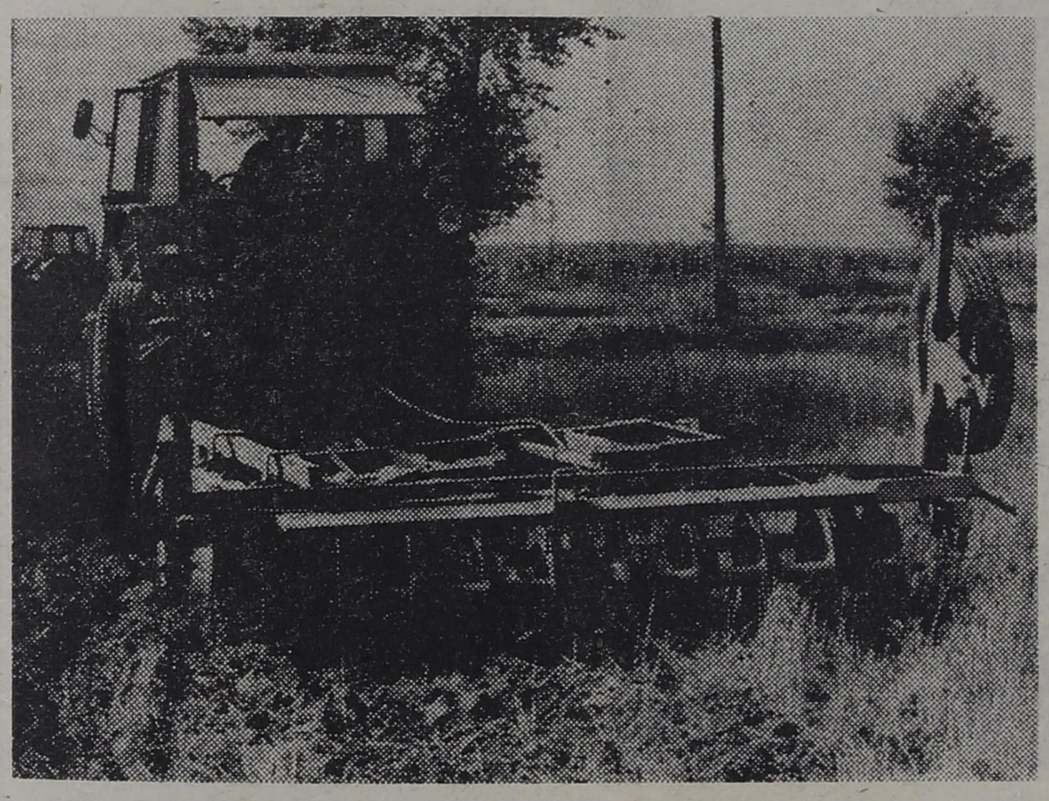
— Nie głosowałem!

— Głosowałeś!

Gdy opuszczam Wąsosz, tłum faluje przed Urzędem gminy, nadal niezadowolony.

Jest to już trzeci tekst w „Kontaktach" o dystrybucji maszyn rolniczych, bowiem temat ten należy do najbardziej konfliktowych w życiu dzisiejszej wsi, lecz ciągle nie może doczekać się skutecznego unormowania. Niepokoi nas fakt, że resortowe władze wojewódzkie nie zaproponowały dotychczas obowiązującego, optymalnego trybu przydziału maszyn — niechby to były przedpłaty i losowanie wśród najbardziej zasługujących — i godzą się na rozgrywanie tak dramatycznych wielogodzinnych „zapasów" gminnych, które głęboko różnicują społeczeństwo wsi i wybijają je z naturalnego rytmu pracy. Spodziewamy się bezzwłocznej reakcji władz, abyśmy już do tego tematu nie musieli powracać.

Fot. GABOR LÖRINCZY



różaniec historii

KZ NSZZ „Solidarność" przy ZZPB w Zambrowie wyraża stanowczy protest przeciwko tendencyjnemu artykułowi W. Tockiego pt. „Różaniec historii" zamieszczonemu w „Kontaktach" z dnia 12.07.1981. Niezgodna z prawdą jest sugestia red. Tockiego, że „Solidarność" ZZPB odżegnuje się od współpracy z KZ PZPR, RZ związku branżowego i ZSMP. KZ NSZZ „Solidarność" wielokrotnie wysuwała propozycje konkretnego współdziałania z byłym KZ PZPR i Radą Zakładową w realizacji słusznych postulatów Załogi. Zawsze pozostawało to bez echa. Z jednym wyjątkiem: 9.01.1981 r. KZ NSZZ „Solidarność" i RZ związku branżowego wspólnie ogłosiły Załodze, że dzień 10.01.1981 r. jest dniem wolnym od pracy.

Redaktor W. Tocki insynuuje w swoim artykule, że „Solidarność" ZZPB *„[...] ignoruje propozycje powołania wspólnej z KZ, związkiem branżowym i organizacją młodzieżową komisji w celu ustalenia dalszej współpracy"*. KZ NSZZ „Solidarność" oświadcza, że po raz pierwszy dowiaduje się o inicjatywie powołania takowej komisji w ZZPB. Być może red. W. Tockiemu chodziło o próby wmontowania KZ NSZZ „Solidarność" w fikcyjny samorząd robotniczy tzn. KSR: „Solidarność" nie wyrażała na to zgody, stojąc na stanowisku, że samorząd robotniczy powinien być wybrany spośród całej załogi w tajnych wyborach.

W celu zapoznania się z zagadnieniami funkcjonowania samorządu w zakładzie pracy „Solidarność" organizowała wyjazdy na konferencje naukowe i związkowe poświęcone tej problematyce. Ostatnio taka konferencja, skupiająca przedstawicieli około 1000 największych zakładów w Polsce odbyła się w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w dniu 8.07. 1981 r., na której — obok „Solidarności" nasz Związek reprezentowali przedstawiciele KZ PZPR, Związku Branżowego i Dyrekcji.

Również bezsensowne jest stwierdzenie, że „Solidarność" zabierze się za naprawę przeciekającego na najstarszej hali dachu. KZ NSZZ „Solidarność" stoi na stanowisku, że nie jest rolą związku zawodowego wyręczanie w pracy kierownictwa zakładu. Naczelne zadanie zw. zawodowego to obrona interesów pracowniczych oraz konsekwentna kontrola tempa realizacji postulatów Załogi przez Kierownictwo Zakładu.

KZ NSZZ „Solidarność"
przy ZZPB w Zambrowie

Od autora:

Jedną z podstawowych powinności reportera jest dotarcie do wszystkich zainteresowanych, wysłuchanie i przedstawienie — szczególnie w sprawach kontrowersyjnych — argumentów zarówno jednej, jak i drugiej strony. Przywołuję tę tezę nie bez powodu. Do dziś bowiem niektórzy uzurpują sobie prawo do wyłączności na prawdę i wiarygodność, wymagając tym samym od dziennikarza, by uwzględniał ich — „jedynie słuszne" — racje. Od powyższej refleksji nie mogę się uwolnić czytając po raz kolejny dziwne Oświadczenie KZ NSZZ „Solidarność" przy ZZPB w Zambrowie; dziwne — zważywszy chociażby na jednoznacznie negatywną ocenę całego reportażu, bez oglądania się na jego ogólną wymowę.

W czasie pobytu w ZZPB w Zambrowie zainteresowało mnie m.in. jak układają się stosunki pomiędzy „Solidarnością" a Komitetem Zakładowym PZPR. Dla uzyskania w miarę pełnego obrazu na ten temat rozmawiałem więc i z przedstawicielami zakładowej „Solidarności" i ówczesnym sekretarzem KZ PZPR, Zdzisławem Rzepkowskim. Ograniczając się później do podanych przez obie strony faktów, nie najlepiej świadczących o atmosferze owych stosunków, przedstawiłem ją następująco: *„Coraz wyraźniej tworzy się w zakładzie nowy, posierpniowy układ, w którym przez wiele miesięcy brakuje wzajemnej ufności. I otwartości. Zdarzają się epizody drażniące to jedną, to drugą stronę. Niekiedy błahe:* Sekretarz odbiera pożyczony z KZ przez »Solidarność« mikrofon, choć nie jest mu w tej właśnie chwili potrzebny; »Solidarność« ignoruje propozycję powołania wspólnej z KZ, związkiem branżowym i organizacją młodzieżową komisji w celu ustalenia dalszej współpracy, administracja ni stąd ni zowąd zbiera wśród załogi »własne« postulaty. Mija powoli jednak czas przesilenia" (podkreślenie — W.T.). Przytaczam cały akapit, gdyż wyrwanie z kontekstu drobnego fragmentu wypacza jego sens i rolę, a autorom „Oświadczenia" takie podejście do tekstu pozwoliło sformułować bezzasadne oskarżenie. Cały wywód o „insynuowaniu" przez autora złej woli „Solidarności" w kwestii współpracy obala zresztą dalszy fragment, kiedy po zdaniu *„»Solidarność« zabierze się za naprawę przeciekającego na najstarszej hali dachu"* dodaję: *„wspólnie z kierownictwem"*. (Autorów „Oświadczenia", zgodnie z przyjętą metodą, kontekst jednak nie interesuje — dla poparcia swej tezy wyłuskują po prostu potrzebne im ustępy, a przecież doprawdy nie trzeba się wysilać, by w ten sposób z białego zrobić czarne).

Najbardziej jednak zaskakuje, iż „również bezsensowne jest stwierdzenie, że »Solidarność« zabierze się za naprawę przeciekającego na najstarszej hali dachu". Zaskakuje — gdyż o problemie tym i potrzebie jego pilnego rozwiązania ze względu na wpływ na warunki pracy (a więc interes pracowników) dowiedziałem się właśnie od przedstawicieli „Solidarności". Pisząc zaś o tym nie widziałem potrzeby, aby składać oświadczenie, iż wcale nie wyobrażam sobie, że „Solidarność" wytypuje swoich ludzi, którym poleci załatać dziury w dachu.

Nie wiem więc kto komu i co insynuuje, wystawiając kategoryczną cenzurkę całemu tekstowi: „tendencyjny" na podstawie powyższych faktów, którym poświęcone zostały niepełne dwa zdania. A może chodzi po prostu o wykazanie dziennikarzowi — broniącemu swego reporterskiego przywileju — że nie zgadzając się na autoryzowanie tekstu przez przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność", popełnił jednak błąd?

WŁADYSŁAW TOCKI

polemiki

rolnictwo

WŁADYSŁAW TOCKI

odciski na kłosach



dzieć, jak podejść. Gdy się nie wie, naszarpać się można, ręce pozrywać w godzinę i po hecy. A przecież jutro też czeka robota. I pojutrze. Nie sztuka zasiepać się w kilka godzin, paść potem i ręką ni nogą nie gmernąć. Dlatego ten półhektarek żyta Zalewska planuje na dwa dni. By chęci starczyło. I siły. Cała robota w polu polega na systematyczności. Do ziemi nie można podchodzić od święta, traktować jej zrywami.

A jednak po godzinie niezbyt wytężonego wymachiwania kosą poczułem słabe zrazu, potem coraz dotkliwsze pieczenie lewej dłoni. Za mną zaledwie kilka pokosów, do obiadu ze dwie godziny, do wieczora z dziesięć, a nagniot krwią już podbiegły, różowiutki... cholera!

— Nienawykły. Niech za mocno nie ściska kosiska — udziela spóźnionej rady gospodyni i pokazuje swoje twarde, zrogowaciałe niemal dłonie.

Zalewscy zawsze pracowali na ziemi; pan Antoni od trzynastego roku życia, kiedy to po śmierci ojca został najstarszym mężczyzną w rodzinie. Te żniwa — z moim udziałem — są więc dla niego pierwszymi od czterdziestu ośmiu lat bez kosy. Nie ściska go jednak z tej przyczyny w sercu, za krtań nie chwyta.

— Dość się wyrobił — mówi zaciągając się końcówką papierosa. Puszcza dym w siwy, sumiasty wąs i powoli podnosi się ze snopka. — Niechby i zgniło, nie powód, aby nogi na polu wyciągnąć.

Nie jest tu potrzebny, bierze więc grabie i idzie przewracać siano.

Po obiedzie coraz wyraźniej czuję rozłażące się po obolałych kościach lenistwo. Z chęcią, by nie dać zesztywnieć solidnie nadwerężonym stawom, ruszałbym w pole bez odpoczynku, ale gospodyni nie tak łatwo wyrwać się z domu. Kiedy tylko pojawia się na podwórku, z miejsca pędzi za nią, zgłodniały tabun kur i kurcząt. Wieczorem dochodzi jeszcze do tego przeraźliwy kwik świń, porykiwanie nie dojonych krów, więc przy kawie z przybyłymi akurat gośćmi zasiadam ja, obcy. Gospodyni zagląda na minutę, na dwie, i truchtem wybiega do spóźnionego obrządku.

Ściemnia się już na dobre, gdy otwieram furtkę koło obory i wychodzę na drogę, by przejść się trochę po wsi.

Burzyn to niewielka, licząca zaledwie pięćdziesiąt numerów, wieś, sąsiadująca od strony Wizny z Rutkowskimi, wsią jeszcze mniejszą. Jedyną atrakcją jest tu właściwie tylko pobliska Biebrza, czysta nawet na tym odcinku i rybna, ale zdradliwa dla każdego i niebezpieczna. Ileż to kop siana spłynęło w jej, nagle zmętniałych, odmętach, ile czarnych, nabrzmiałych topielców wyrzuciła na zakolu w Rutkowskich, w samym Burzynie. Nie trzeba szukać daleko. W ubiegłym roku cały pokos Zalewskich popłynął wartko do Narwi, a i śmierć zadana przez rzekę otarła się przed laty o ich rodzinę. Pierwszego chłopaka, który przed panem Antonim zachodził do młodej gospodyni, rybacy wyłowili z rzeki po kilku tygodniach. A rzekę znał przecież, urodził się nad nią, wychował.

Oprócz rzeki ma jeszcze Burzyn aspiracje. Widać je dość wyraźnie na domach w postaci tabliczek z napisem: *„ulica Cmentarna"*, *„ulica Prosta"*. Przy ulicy Cmentarnej rzeczywiście znajduje się cmentarz, ulica Prosta naprawdę jest prosta.

Centrum wsi wyznacza rozległy plac, żwany tutaj rynkiem. Na przeciwległych jego krańcach strzela w górę z jednej strony nowoczesna sylwetka kościoła, z drugiej wbija się w ziemię ruina remizy z zawalonym dachem, popękanymi murami i monumentalną — na tym tle — tablicą: *[...] wzniesiono przy pomocy finansowej PZU'*. Nowy kościół, willową plebanię i piętrową organistówkę wieś zafundowała sobie dopiero przed ośmiu laty, ratując się tym sposobem przed likwidacją parafii i przymusem niedzielnych wędrówek do odległego o siedem kilometrów Jedwabnego. Przy okazji wieś dowiedziała się, że jest również atrakcją turystyczną — z części rozebranego, drewnianego kościółka lekarz z Warszawy postawił sobie nad Biebrzą jedną z pierwszych w okolicy daczę.

Związki moich dzisiejszych chlebodawców z kościołem i plebanią są raczej ziemskie. W dziewczęcej przeszłości Kazimiera Zalewska wiele lat spędziła jako pomoc etatowej gospodyni w olbrzymiej, drewnianej plebanii, która później, dziwnym trafem, po odkupieniu i przeniesieniu do własnej zagrody, stała się jej domem. Nie tak rozległym, okazałym, gdyż nawątlił go wcześniej pożar, niemniej do dziś wyróżniającym się innością wysokich okien, obszernym przedpokojem, czterema solidnymi izbami. Ogień zresztą dwa razy decydował o siedzibie Zalewskich. Pierwszy raz — po pożarze, w którym stracili wszystko, przenieśli się przed czternastu laty do Burzyna; drugi — po tej samej klęsce, jaka dotknęła plebanię, mogli z odratowanych resztek w miejsce kurnej, dwuizbowej chaty, wznieść nowy dom. W ciągu tych czternastu lat wybudowali również nową oborę, podnieśli o trzy pustaki kamienną stodołę, pokryli ją eternitem.

— Można by teraz pomyśleć o jakich udogodnieniach — mówi Antoni Zalewski rzucając słomę w gnojowisko chlewa — ale dla kogo? Z syna gospodarza nie będzie. Córka wybrała miasto. A my z żonką ile pożyjem? Pięć lat, dziesięć, rok?

Następnego dnia zaspałem trochę. Na szczęście rosa nie opadła jeszcze, więc i gospodarze nie czekali na moje przebudzenie. Pani Kazimiera — od piątej na nogach — zdążyła już tymczasem wydoić krowy, nakarmić świnie, obrządzić kury, odwieźć mleko do zlewni i przygotować śniadanie. Pan Antoni mocował właśnie, dopiero co poklepaną, kosę do kosiska. Spiesznie przetarłem więc, senne jeszcze, oczy, zakręciłem — starając się rozluźnić zesztywniałe nadgarstki i nabrzmiałe przez noc palce — kilka młyńców rękami i zasiadłem do śniadania. Chłodny, bezsłoneczny dzień zapowiadał dobrą robotę. Pot — tylko „zarobiony".

Wczoraj wieczorem podkosiliśmy solidnie, dzisiaj swobodnie powinniśmy więc skończyć żytnie żniwa przed zachodem.

I rzeczywiście — na popołudnie zostaje nam ledwie kilka pokosów. Gospodyni nie ma już jednak zupełnie serca do tej roboty. Niewiele będzie z niej korzyści. Ot, słoma i dwa albo trzy razy tyle ziarna, co w skibę się rzuciło. Taka to i ziemia. W żytnio-ziemniaczanym Burzynie i okolicznych wsiach mało kto dorobił się na niej. Kiedy zaś w niedzielę staną na placu przed kościołem szykowne samochody, gdy w powszedni dzień na polach zobaczy się traktor, na palcach u jednej ręki policzyłby te, co nie zostały przywiezione z saksów. Zresztą w samym Burzynie traktorów jest zaledwie trzy

Półtoradniowe pochylenie gospodyni odczuwa bardziej chyba niż ja machanie kosą, bo — nie spiesząc się już teraz — ciągnę pokos tuż za podbieranym przez nią.

— I ja mogłam mieć może inne życie — odzywa się po dłuższej chwili milczenia. — Dziś koleżanki samochodami z Warszawy, z Wrocławia zajeżdżają do wsi. Modne, czyste, z delikatną rączką. Czasem nawet zapominają, skąd wyszły. „Jak mam wjechać wozem w te placki?" — pyta niedawno jedna zatrzymując samochód w bramie, bo krowy zabrudziły podwórko. „To przecież zwyczajne gówno, na którym rośnie chleb — odpowiadam. — Kół nie spali".

Ile będzie chleba, widać najlepiej po cenie ziemi. A ziemia ostatnio wielkiej wartości nie miała. Jeszcze kilkanaście lat temu za dwa hektary Zalewscy zapłacili czterdzieści osiem tysięcy złotych. Przed trzema — rząd sprzedał im prawie cztery za czternaście. Znaczy, na ziemi nie ma kto robić. A gdy nie ma kto pracować na ziemi, skąd ma być chleb?

— Skąd? — powtarzała Zalewska. — I czemu nie ma chętnych do harówki od świtu do nocy? Dlaczego młodych wywiało do szkół i do miasta? A wie, ile lat miała moja matka, jak umierała? Czterdzieście dziewięć. A teściowa? Czterdzieści pięć. A ile tamta dziewczyna rzucająca snopy na furę? Trzynaście.

Niewiele zostawało nam do końca, gdy nagle zachmurzyło się i siąpać zaczął drobny deszcz. Gospodarz na szczęście nie poszedł jeszcze do siana, więc jął pośpiesznie zestawiać symetryczne dziesiątki. Zmęczona i podenerwowana gospodyni zaklęła siarczyście i zamilkła. Nie ostrząc kosy zacząłem kolejny pokos.

I wówczas nagle przestało mi się spieszyć. Przecież za chwilę położę kosę na wóz, gospodarz przyprzęgnie konie i powoli ruszymy w stronę wsi. Zbyt smutny zdał mi się ten obraz: powrót dwojga starych, spracowanych ludzi, którzy któregoś dnia nie wyjdą w pole i nikt ich tam nie zastąpi. Ja przyjechałem tu tylko napisać żniwny reportaż.

Fot. GABOR LÖRINCZY

MAREK RYMUSZKO

królestwo Fiskusa

Znowu przemierzam szare od papierosowego dymu korytarze, w których kłębią się ludzkie nadzieje i zwątpienia. Ocieram się o życiowe nieszczęścia i szczęśliwe fuksy, powagę i śmieszność, tuzinkowe historie i niezwykłe dramaty.

W Sądzie Rejonowym zatrzymuje mnie przez jakiś czas proces przeciwko właścicielowi firmy pośredniczącej w sprzedaży samochodów. Akt oskarżenia zarzuca mu oszustwo podatkowe na blisko trzy miliony złotych. Ten facet nie tylko pośredniczył przy sprzedaży wozów, ale i handlował nimi. Na rozprawie coraz to padają nazwy wywołujące u samochodziarzy dreszczyk podniecenia: „Mercedes 300-B", „Volvo", „Audi". Dostawcami pojazdów byli Francuzi. Niektóre okazały się skradzione.

Oskarżonych jest w sumie siedmiu. Ledwo mieszczą się na ławie razem ze swoimi opiekunami. Nad procesem unosi się duch wszechmocnego Fiskusa: skrupulatnego, szczegółowego, obliczającego należności, nieprzejednanego w egzekwowaniu swoich uprawnień. Za to pod drzwiami atmosfera starannie celebrowanego szpanu. Cieszą oczy dżinsy, wranglery i niezła biżuteria. Na widok obcego natychmiast zapada milczenie.

Tuż obok sprawa z gatunku tych, z którymi nie wiadomo co począć. Osiemnastoletni chłopak ukradł trzy rowery i portmonetkę. Rodzina w rozsypce; matka od dawna się nim nie interesuje. Opinia z zakładu wychowawczego nie najlepsza, sugeruje skłonność do przywłaszczania przez podopiecznego cudzych rzeczy. Biegli stwierdzają upośledzenie umysłowe, ale w stopniu nie ograniczającym poczytalności w rozumieniu przepisów prawa karnego. Osiemnastolatek przyznaje się do wszystkiego. Sam mówi niewiele, ogranicza się do zwięzłych odpowiedzi na pytania sądu.

Prokurator-kobieta, żonglując numerami artykułów i paragrafów, żąda wymierzenia Leszkowi B. półtora roku pozbawienia wolności i dziesięciu tysięcy złotych grzywny. Z kolei obrońca nazywa swojego klienta postacią tragiczną. Mówi o warunkach, w jakich się wychował. Zadaje też retoryczne pytanie, skąd chłopiec ma wziąć dziesięć tysięcy na zapłacenie grzywny.

— Co oskarżony chce powiedzieć? — pyta sąd.

Chłopak wstaje i milczy.

— Czy oskarżony wie, że nie wolno brać cudzych rzeczy?

— Wiem.

— No i jak dalej będzie?

Odpowiedzią jest znowu milczenie. Sprawa spadnie tego dnia z wokandy i utonie w powodzi innych, równie beznadziejnych, a przecież jakże trudnych do rozstrzygnięcia.

— Półtora roku dla takiego dzieciaka za trzy rowery? — dziwi się biegły czekający na następną sprawę. Po czym dodaje: — Wie pan, stary jestem, ale czasami przestaję cokolwiek rozumieć.

W sali numer 231 sądzą kieszonkowców: dwóch braci, którzy pracowali w domach towarowych „Centrum". Jeden robił przy stoisku sztuczny tłok, przyciskając ludzi do lady, drugi w tym czasie opróżniał kieszenie. Wpadli w trakcie kolejnej operacji. Od dłuższego czasu byli obserwowani przez wywiadowców MO. Na ile się w sumie obłowili nie wiadomo, bo poza udowodnionymi im przypadkami do niczego się nie przyznają. A kradzieży kieszonkowych jest w Warszawie parę tysięcy w roku.

— To fachowcy — podkreśla z przekonaniem jeden z funkcjonariuszy MO. — Od razu było widać, że mają opracowaną technikę. Jeśli sąd potraktuje ich jak debiutantów, dostaną w zawieszeniu i za jakiś czas znowu się spotkamy.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Pragi pod jedną z sal tłumek, który zwraca uwagę swoją niejednorodnością. Świadkowie i rodziny oskarżonych tworzą zwykle wyodrębnioną, zwartą optycznie grupę. To jest kwestia ubioru, makijażu, także sposobu wystawiania się. Inną widownię ma stolarz z Ząbkowskiej, który urządził nocną porą „karczmę" na podwórzu, lejąc się do upadłego z interweniującymi funkcjonariuszami MO, a inną urzędnik podrabiający podpisy w dokumentach po to, by dziabnąć kilkaset tysięcy z państwowej kasy. Tutaj natomiast dominuje mieszanka firmowa — kolorowe chustki na głowach kontrastują z dobrze skrojonymi garniturami, pretensjonalność idzie w parze z dyskretną elegancją.

Człowiek, który skojarzył na sądowym korytarzu te dwa światy, jest oszustem, popularnie zwanym „Farmazonem". Nie wiem, czy po napisaniu przez Stefana Kozickiego i Aleksandra Rowińskiego książki „Szpakami karmieni" można powiedzieć cokolwiek oryginalnego o tego typu sprawach. A przecież w swoim jednostkowym wymiarze okazują się one zawsze barwne i skłaniające do zadumy nad naiwnością jednych, sprytem innych.

Jan C. zasiadający na ławie oskarżonych specjalnie sprytny nie był. Po prostu wynajmował swoje mieszkanie kilku osobom naraz. Pobierał wysokie zaliczki, a następnie znikał. Żerował na ogłoszeniach prasowych, głównie z „Życia Warszawy". Pod drzwiami jego kawalerki spotkali się pewnego wieczoru: pomoc domowa, której zdążył „sprzedać" owych dwadzieścia metrów kwadratowych; inżynier elektronik z żoną, mający w kieszeni pokwitowanie na czterdzieści tysięcy złotych, wręczone tytułem wynajęcia lokalu; wreszcie plastyk zamierzający urządzić sobie u Jasia C. pracownię. „Farmazon" tymczasem podróżował po Polsce i wysyłał do znajomych fantazyjne widokówki, w których otwarcie wykładał swoje życiowe credo: „Żyj i daj żyć innym". Przed sądem zaprezentował się jako człowiek pogodny, rozprężony i wiecznie uśmiechnięty, a także pewny siebie i nader sugestywny. Gdyby nie opowieści ludzi, którzy przewijali się przez salę, można by dojść do wniosku, że w grę wchodzi jakieś horrendalne nieporozumienie, które lada moment zostanie wyjaśnione. Czy można się w tej sytuacji dziwić owemu starszemu człowiekowi w kolejarskim mundurze, który powierzył „Farmazonowi" uciułane przez dwadzieścia lat sto tysięcy na zakup dolarów i czekał na niego przez parę godzin przed klatką schodową na Foksal, nie wiedząc, że ptaszek dawno wyfrunął tylnym wyjściem?

— Niby stereotyp, a ciągle żywotny — dziwi się mecenas Tadeusz Krzemiński.

— Ba — kiwa głową ławnik popijający w pobliżu nas kawę. — Każdy ma swój słaby punkt w życiorysie. I jak go taki gość wyczuje, nie ma silnego.

Przez kilka dni przysłuchuję się procesowi o zniesławienie przeciwko dziennikarce. Oskarżycielem prywatnym jest młody człowiek, kierownik hotelu robotniczego, który poczuł się urażony ostrym, krytycznym tonem publikacji. Warunki w hotelu urągały elementarnym normom ludzkiego bytowania. Brudna, nie zmieniana tygodniami pościel, ordynarne odnoszenie się do mieszkanek, wreszcie próby sekowania kobiet, które przeciwstawiały się tym praktykom. Jako świadkowie występują przedstawiciele dyrekcji zakładu, związków zawodowych oraz dziewczyny mieszkające w hotelu.

Oskarżyciel prywatny zjawił się bez pełnomocnika. Widać, że liznął trochę prawa, ale im bardziej sprawa posuwa się naprzód, tym wyraźniej zaczyna się w niej gubić. Zgłasza sprzeczne wnioski, nie potrafi też dokładnie określić zakresu aktu oskarżenia.

Najbardziej kontrowersyjnym zagadnieniem okazuje się ujawnienie w publikacji faktu, iż dziecko negatywnego bohatera reportażu pochodzi z pierwszego małżeństwa. Okazuje się, że nie wszyscy o tym wiedzieli. Ale oskarżyciel przekazał tę informację dziennikarce z pełną świadomością, że zamierza ona pisać artykuł. Nie prosił w tym względzie o dyskrecję. Zresztą dziecko miało stać się argumentem w staraniach o większe mieszkanie.

Sąd przesłuchuje strony, potem świadków. Dokumentacja materiału zebranego w sprawie okazuje się wręcz wzorowa, nie można jej prawie nic zarzucić. Dziennikarka odbyła rozmowy z wieloma osobami, zapoznała się z obfitą korespondencją między zakładem a mieszkańcami hotelu. Fakty nienależytego wywiązywania się przez kierownika z jego obowiązków oraz niewłaściwego odnoszenia do kobiet zostają w całej rozciągłości potwierdzone. Pozostaje sprawa tego jednego niefortunnego zdania, poświęconego dziecku. Sąd ma o nie wyraźną pretensję. I wówczas reporterce przychodzi z nieoczekiwaną pomocą sam oskarżyciel prywatny. Zdradzając objawy zdenerwowania oświadcza, że przekazał dziennikarce informacje o dziecku celowo: by... sprawdzić jej etykę!

— Jak to? — nie wytrzymuje sędzia Inga Gorel, która prowadzi rozprawę. — Pan to mówi poważnie?

Sąd uniewinnia oskarżoną stwierdzając w orzeczeniu, że działała ona w obronie uzasadnionego interesu społecznego, zaś ujawnione w artykule fakty znalazły potwierdzenie w toku przewodu sądowego. Oskarżyciel zapowiada wniesienie od tego wyroku rewizji, której — jak czas pokaże — ostatecznie zaniecha.

Ileż takich procesów co roku przewija się przez wokandy. Ile w nich konfliktów rzeczywistych, wynikających z obiektywnego naruszenia czyjegoś dobrego imienia, a ile tajonej złości, chęci odegrania się na dziennikarzu, zastraszenia go?

Przy okazji bytności w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Pragi postanawiam przejrzeć akta sprawy o gwałt, rozpatrywanej w tym samym wydziale. Ich lektura rysuje niepokojący schemat. Wieczór spędzony *tête a tête*, płyty, koniak, a następnego dnia zgłoszenie o przestępstwie. Oskarżony odpowiada z wolnej stopy. Jest kierowcą w bazie samochodowej; ona — ekspedientką.

On twierdzi, że po odtańczeniu paru kawałków w „Remoncie" pojechali do jego mieszkania, zrobili sobie kolację, a później doszło do zbliżenia. Oczywiście, za jej zgodą. O tym, że jest debiutantką, zorientował się dopiero w ostatniej chwili; nic na ten temat nie mówiła, ale i nie wzbraniała się przed stosunkiem. Zresztą wiedziała przecież, dokąd i po co jadą.

Ona utrzymuje, że było zupełnie inaczej. Partner zachowywał się przez cały czas kulturalnie. Mówił, że mieszka razem z siostrą i jej mężem, sądziła więc, że oprócz nich dwojga będzie jeszcze ktoś w mieszkaniu. Dopiero na miejscu zorientowała się, że współlokatorzy wyjechali na wczasy. Oskarżony zmusił ją do zbliżenia. Potem przez pewien czas chorowała, co potwierdza zaświadczenie lekarza specjalisty załączone do akt.

— Sprawa — tłumaczy mi prokurator — nadawała się może i do umorzenia, ale są w niej elementy, które wskazują na to, że mogło być tak, jak zeznaje kobieta. Lepiej więc przepuścić to przez pryzmat sądu. Zwiększa się w ten sposób obiektywizm oceny, zmniejsza się możliwość popełnienia omyłki.

Sąd uniewinnia oskarżonego z braku dowodów, zaś zeznania dziewczyny uznaje za niewiarygodne. Prokurator zapowiada, że nie będzie się odwoływał od wyroku. Tamci dwoje rozchodzą się natychmiast po opuszczeniu sali. Tylko oni wiedzą, jak było naprawdę.

Znacznie bardziej skomplikowany proces tego typu toczy się przed Sądem Najwyższym: o gwałt zbiorowy. Sprawców było trzech: scenerią — prawie jak wyżej. Mecenas Czeszejko-Sochacki, który staje przed sądem jako obrońca głównego oskarżonego (wyrok Sądu Wojewódzkiego był skazujący), nie kryje swojego sceptycyzmu wobec twierdzeń pokrzywdzonej. Wylicza wątpliwości, które, jego zdaniem, przemawiają na rzecz uchylenia orzeczenia sądu niższej instancji i przekazania sprawy do ponownego rozpoznania. Koniec końców staje się jednak inaczej: Sąd Najwyższy zatwierdza wyrok jedynie z nieznacznymi korektami prawnymi. Pod salą pustki; ta sprawa toczy się przy drzwiach zamkniętych.

Sąd Najwyższy w kompleksie gmachów na Lesznie stanowi enklawę spokoju. Od powszedniego rozgardiaszu oddziela go kilka załomów korytarzy, po pokonaniu których człowiekowi zdaje się, że wkroczył w strefę ciszy. Nie widać tu oznak pośpiechu, gonitwy i zdenerwowania, tak charakterystycznych dla sądów rejonowych i wojewódzkich. Mało również widzów; przeważają adwokaci i pełnomocnicy stron. Na wokandzie od kilku do kilkunastu spraw dziennie. Na ogół rewizje zwykłe, od czasu do czasu — nadzwyczajne. Inny świat, inny ciężar gatunkowy spraw.

W tym samym czasie po drugiej stronie budynku młyn sprawiedliwości pracuje na najwyższych obrotach. Reporterowi próbującemu odnaleźć w jego trybach okruchy zdarzeń niebanalnych nie zawsze udaje się prawidłowo odczytać tropy. Bywa tak, że fabuły pozornie niecekawe okazują się pasjonujące, inne zaś — na pierwszy rzut oka zgoła sensacyjne — ujawniają po pewnym czasie swój przeciętny rodowód; jak na przykład ta, spektakularna, zdałoby się, historia z niemal gangsterskimi epizodami.

Na ławie oskarżonych przed Sądem Wojewódzkim zasiadają członkowie gangu, który operował w pobliżu kas PKO. Zasady działania mieli proste: obserwowali klientów, którzy pobierali większe sumy pieniędzy a następnie, przy pomocy radiotelefonu, przekazywali delikwenta kolegom stojącym na ulicy. Ci dyskretnie pilotowali ofiarę aż do domu, gdzie na klatce schodowej lub w windzie dokonywali napadu i rabowali pieniądze. Wybierali na ogół osoby starsze, dające gwarancję bezpiecznego łupu. Milicja otrzymująca sygnały o napadach na ludzi, którzy dopiero co pobrali większą gotówkę z książeczek PKO, połączyła wszystkie incydenty w całość. Zaczęto obserwować oddziały PKO, penetrować środowiska przestępcze. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać.

Ta sprawa — nazwana przez popołudniówkę kryminałem w gangsterskim stylu — w wymiarze sądowym okaże się już tylko żmudną, nużącą rejestracją faktów oraz technik przestępczych. I mimo iż na mapie sądowej trudno byłoby zaliczyć ją do tuzinkowych, nie wywołuje tego stanu ekscytacji, jaki ogarniał czytelnika po lekturze prasowej enuncjacji.

Za to w dziesiątce karnej Sądu Rejonowego, wśród wielu podobnych do siebie procesów, prawdziwy rodzynek dla prawnika. Katastrofa lotnicza. Pilotka — Wiera K. — pechowego dnia startowała z lotniska Babice pod Warszawą samolotem typu L-200 Morawy z dwoma pasażerami na pokładzie. Leciała do Jeleniej Góry; jeszcze tego samego dnia miała wracać do Warszawy. Podczas startu w Jeleniej Górze samolot uniósł się w powietrze, a następnie ponownie opadł na pas i po szybkim przemknięciu — zatrzymał się w pobliskim kartoflisku. Obecni na pokładzie doznali licznych obrażeń. Straty przekroczyły czterysta tysięcy złotych.

Komisja specjalistów orzekła, że przyczyną wypadku było podjęcie startu przy zbyt małej prędkości, nieutrzymanie przyjętego kierunku lotu oraz wykonanie manewru obrotami silnika w sytuacji, gdy start należało przerwać. Pilotka natomiast twierdzi, że musiała tak postąpić, gdyż był to jedyny sposób uniknięcia zderzenia z budynkami znajdującymi się na skraju lotniska. Miejsce przymusowego lądowania obrała świadomie — widząc, że już nie zdoła maszyny poderwać w powietrze.

Sąd Rejonowy Wierę K. uniewinnił, jednakże — wskutek rewizji oskarżyciela w drugiej instancji — wyrok uchylono i przekazano sprawę do ponownego rozpoznania. Stąd powędrowała do Prokuratury w Jeleniej Górze w celu uzupełnienia akt śledztwa. Kres postępowaniu położyła niespodziewana śmierć pilotki.

(C.d.n.)

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Burzliwe tego dnia było kolegium redakcyjne. Naczelny właśnie zjechał z Nadzwyczajnego Zjazdu, więc i kolegium zapowiadało się nadzwyczajnie. Gdy wszyscy siedli i ucichli, naczelny uważnie popatrzył po swoich Dzielnych, długo coś w sobie ważył, aż wypalił: — Odnowa. Podskoczyliśmy na krzesłach, jakby w redakcji rozerwał się granat, i wlepiliśmy zdumione spojrzenia w szefa.

— Co macie takie niewyraźne miny? Trzeba na gwałt odnaleźć odnowę w naszym województwie.

Wybuchła wrzawa; pomieszane głosy utyskiwały i biadoliły, że już, już... wydawało się: jest! Bo to raz wpadał reporter do redakcji prosto z terenu, rozgorączkowany kładł tekst na biurku szefa i triumfalnie oznajmiał: „Mam!" Kto żyw rzucał się do czytania, po czym odchodził z markotną minę. Coś tam dzwoniło, ale nie w tym kościele. Te fałszywe alarmy zmęczyły jakby zespół i zniechęciły.

— Głowy i pióra do góry — przerwał narzekania naczelny. — Na pewno do nas przybyła, sam widziałem, jak ciągnęła za delegatami.

Wstąpiła w nas otucha. Skoro tak, nie ma co po próżnicy pleść, tylko hajda do autobusów. Redakcja opustoszała, reporterzy rozbiegli się w cztery strony łomżyńskiego świata.

✸

Minął tydzień. W swojej wędrówce zawitałem do wielu wsi i miasteczek. Odnowy ani widu, ani słychu. Zapadła jak kamień w wodę. Właśnie szedłem przez wieś pod Jedwabnem. Zza opłotków śledziły mnie czujne oczy chłopów. Wieś sprawiała wrażenie oblężonej. Zagadałem do krzepkiego dziadka, dzierżącego sękaty kij: — Co się stało?

Obwarowali się przed Odnową — ponoć pojawiła się w okolicznych lasach.

— W insze lata też do wsi zachodziła. Zielonym światłem błyskała. Kręciła się po wsi; tu błysła, tam błysła, ale jak widzę, że do kołchozu wabi, za sękacz i po tych zielonych ślepiach. Wiała, aż kurz szedł. — Dziadek zaśmiewa się kontent z odprawy, jaką dał „zielonej odnowie". — Na różne przynęty nas brała, a to darmowym dochtorem, a to rentom haczyk omaściła, ale zawsze wyniuchało się pismo nosem. Tera zamotała tak, że trudno rozeznać: i kółka, i związki, i samorządy. Trza pilnować obejścia cały boży dzień, a i w nocy wstaje. Przebiegła okrutnie, ale mnie nie przechytrzy.

Walnął kijachem w deski kurnika, aż kury się rozgdakały, gęsi rozgęgały, a pies zaczął wściekle ujadać.

— Niech redaktor szuka w urzędach, ona z nimi trzyma — pożegnał mnie i przysiadł na ławeczce pilnie popatrując na drogę. Nadchodzi czy jeszcze nie?

Nie ujechałem daleko, w Jedwabnem samochód złapał „kichę". Nie zrażony ruszyłem do Urzędu Miasta i Gminy. Odnowa ma na pewno jakiś solidny wóz terenowy — rozmyślałem idąc. — Niestraszne jej tutejsze drogi, na których uczesthicy rajdu Safari mogliby trenować. Przed budynkiem wpadły mi w oczy kolorowe plakaty. Na jednym namalowany suty snopek zboża, zgrabnie opięty pasem strażackim. Napis wzywał: *„Dziewczęta i chłopcy! Bierzcie udział w pracach żniwnych i patrolach przeciwpożarowych"*. Wyobraziłem sobie rosłych niczym dębczaki chłopców i hoże dziewki, jak idą — miłośnie objęci — wśród falujących zbóż na patrol przeciwpożarowy, po ten kwiat czerwony. Na szczęście w Urzędzie nie posłuchano plakatowego apelu, więc było kogo zapytać.

— Odnowy u nas nie ma — odpowiada ze śmiechem jedna z pań.

— Tak pani mówi, żeby mnie zwieść. — Zaczęłam zaglądać pod biurka i krzesła, sprawdziłem za drzwiami. Pusto. Nagle zobaczyłem metalową szafę. Tutaj?!

— Tam chowamy tylko akta personalne — odrzekła.

— Chce mnie pani spławić. Na pewno trzymacie odnowę pod kluczem. Wszyscy czekamy na nią, a ona kisi się w sejfie.

— Proszę się przekonać — otwiera na oścież drzwi.

Zbłaźniłem się. Równo poukładane — leżały akta; wśród nich nie było akt odnowy.

— Może w Komitecie pan spróbuje? Tam powinna być — radzi przy wyjściu.

Pobiegłem. Domek z wnękami jak po figurach świętych. Pukam. Siedzą dwie panie. Sekretarza nie ma. — Odnowa?

— W urzędzie powiedzieli, że gdzie jak gdzie, ale w Komitecie zastanę.

— Eee, żartuje pan. U nas nie ma.

— Zapiszę wobec tego: „W Komitecie w Jedwabnem nie znalazłem śladów odnowy".

— Tak pan nie pisze — zatrwożyła się sekretarka — oznaki są... na przykład nie pijemy herbaty, tylko kawę „Inkę", i to bez cukru!

To już coś. Poszedłem z tą nowiną jeszcze raz do Urzędu. Tam mi stanowczo powiedziano, że odnowy nie ma. Chyba że zakładanym od 13 lat wodociągiem popłynie jakimś cudem woda. Jak dotąd — nic na to nie wskazuje. Niszczeje tam 600 metrów — położonej i zawalonej przez WPBK w Łomży — rury, próżnuje studnia głębinowa. To wszystko, co przez tyle lat zrobiono. Przyłożyłem na ulicy Wojska Polskiego ucho do ziemi — nie zabulgotało. Powlokłem się do samochodu i... nagłe olśnienie: Łomża! Kręcę się jak pies za własnym ogonem, a odnowa pewnie śmieje się w kułak pod oknami redakcji, zatem do Jaśnie Rzeczypospolitej Łomżyńskiej.

✸

Z daleka wejście do Urzędu Wojewódzkiego skojarzyło mi się z otwartą paszczą wieloryba. Wchodząc poczułem się jak Jonasz. Gdzie by tu najpierw zapukać? Do wojewody. Nie ma. Odnowy? Też nie ma, może u wicewojewodów? Wicewojewodów nie ma. Na naradzie. Odnowa? Blada, z podkrążonymi oczami sekretarka patrzy na mnie półprzytomnie. Wątpliwe, czy znajdę, ale jeżeli już szukam, to będzie nią kobieta, nie mężczyzna, gdyż kobiety całą odnowę na swoich ramionach dźwigają.

Ech, ty puchu marny, ty wietrzna istoto.

Na drugim piętrze zaglądam do siedziby WK FJN. Edward Wałkowski, zastępca kierownika biura, jako widomy znak odnowy pokazuje projekty: „Założenia programowo-polityczne FJN", „Ramowe założenia organizacyjne FJN" oraz broszurę „Samorząd wiejski — podstawowe akty prawne".

— Ponadto nowe zasady działania; idzie kampania zakładania rad sołeckich, wieś jest rozbita i dzięki radom połączy się z powrotem — wyjaśnia Edward Wałkowski.

Przeglądnąłem te projekty i cosik mi się zdaje, że to reanimacja FJN, a nie jego odnowa.

Wojciech Korda, referent w Biurze WRN-u, świeżo po wojsku, każe mi szukać odnowy w burzliwym rozwoju demokracji i na autentycznych zebraniach.

— W sformalizowanych działaniach raczej jej nie ma — stwierdza.

— Czyżby moje błąkanie się po gmachu zda się psu na budę? Redakcja powinna zaangażować Sherlocka Holmesa, red. Maja, „Interpol" i psa Szarika do poszukiwania odnowy. Ja zedrę buty, a nie znajdę — dumam wchodząc do Wydziału Kultury i Sztuki.

Helena Dąbrowska, inspektor wojewódzki, jakby odgaduje moje myśli, gdyż mówi, że ludzie trzeźwo myślący nie musieli czekać na Sierpień i na odnowę, żeby zacząć zmieniać.

— Nauczyliśmy się realnego spojrzenia na życie i chcemy, żeby nowy program rozwoju kultury miał więcej cech praktyczności, a nasze placówki zmieniły styl działania, bo, jak dotąd, było tam trochę tego zastoju — wprowadza mnie w najbliższe odnowicielskie plany Wydziału.

— Oj, było, było tego zastoju — potakuję. — Z nudów można w Łomży zęby wbić w bruk lub stanąć w kolejce. Stojąc rozerwie się człowiek albo zostanie rozerwany.

Wpada mi do głowy pomysł, by poprosić doktora farmacji. Czesława Brodzickiego, o receptę na odnowę. Zastaję go w Wydziale Zdrowia.

— Parę kilo sapienti — rzuca doktor Brodzicki bez namysłu.

Tak, *Le dictum sapienti sat* (mądrej głowie dość dwie słowie), w apteee nie posiadają, pytałem. Może zamienić receptę na: „Mądrej głowie dość dwa razy pałką w łeb?" Tego medykamentu chyba pod dostatkiem.

Przed Wydziałem Handlu głęboko się zamyśliłem. Nagle drzwi się



otwarły na oścież i na korytarz wypada rozkrzyczana gromadka kobiet.

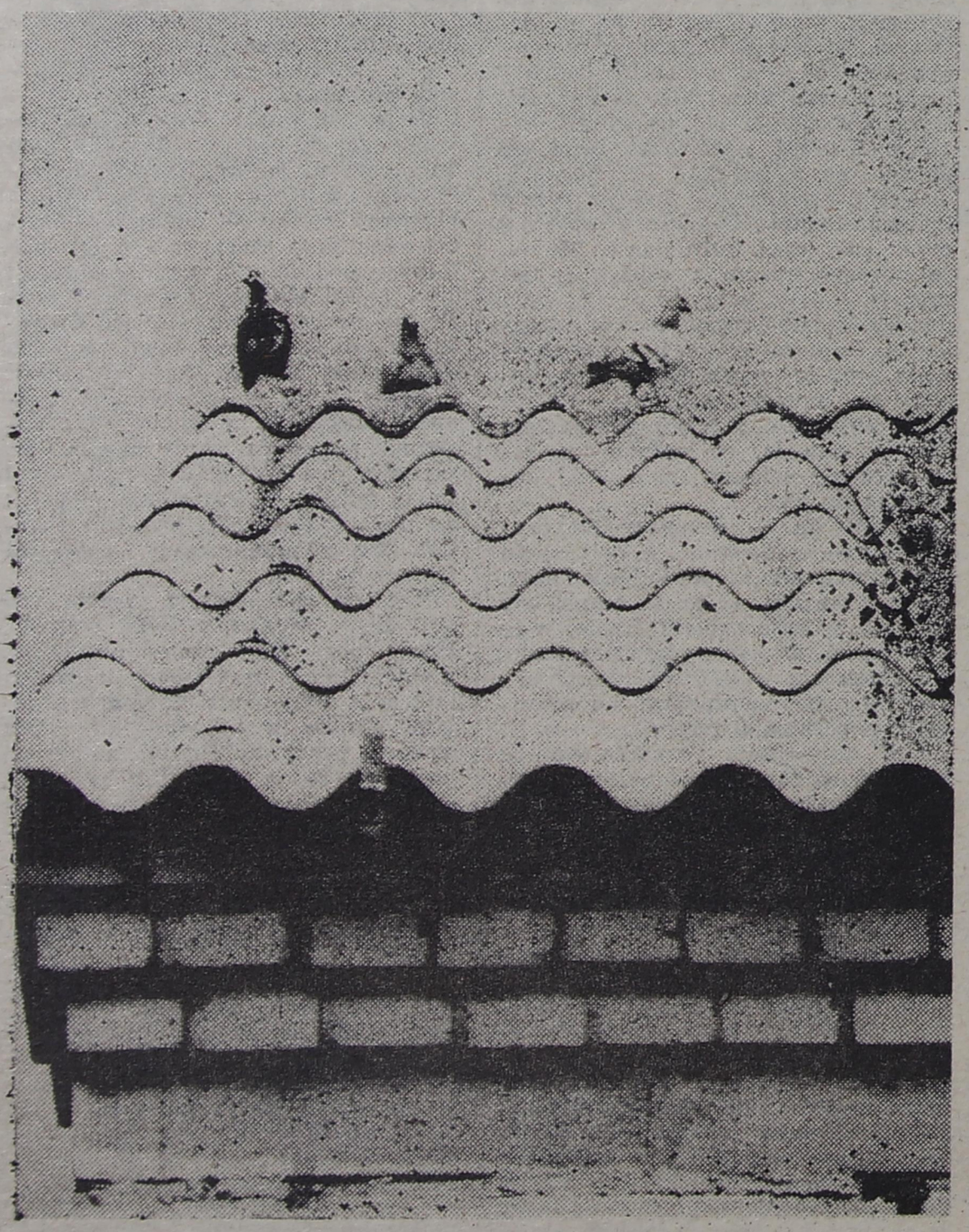
— W gminie mięsa nie ma, w Łomży nie chcą sprzedać, a pan zawraca głowę Odnową — kwitują moje przewrotne pytanie.

Doczekałem się wicewojewody Stanisława Ciupy. Pierwsze to było moje spotkanie z tą legendarną postacią. Nic nie przesadzano w zachwytach. Ja również zostałem olśniony elokwencją i potoczystością wymowy Gdy — jak magik — wyciągał z cylindra za uszy wirtuozowskie sformułowania, oszałamiające metafory, ja powoli zamieniałem się w Chińczyka. Żółkłem z zazdrości o tak bogate słownictwo. Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby oddać dziennikarskie pióro w godniejsze ręce, a samemu zabrać się za urzędowanie.

Com usłyszał, odnotowuję: — Nie jestem za odnową pozorną czy pozorancką, a konstruktywną. Odnową nie jest wcale szum i wrzawa. Odnowa musi dokonać się w ciszy, we wnętrzu ludzkim; ludzie muszą stać się dobrzy dla siebie. Odnowa rozlała się wszerz i w głąb, ale to nie oznacza, że przy tym rozlaniu wielu nie zalała. Jak można mówić o odnowie, gdy po tylu miesiącach „Solidarność" puszcza pogłoskę, że terenowi prominenci otrzymują nocą dostawy żywności radiowozami milicyjnymi. (Tutaj muszę sprostować: „Solidarność" ani drukiem, ani słowem tego nie twierdziła — A.J.S.). Czy to nie ubliża mojej żonie, która musi też wystać swoje w kolejce? Szalenie ważne, by w ruchu odnowy pozbyć się kilku twarzy.

Pełna zgodność słów, czynów i myśli.

Wyszedłem z gabinetu za podwójnymi drzwiami, zbudowany. — Ludzie są jednak złośliwi — pomyślałem o pani, która w jednym z biur



pomarańcje



Urzędu stwierdziła, że odnowy nie widzi, gdyż wszystko przesłania jej wicewojewoda.

Rozradowany, cały w skowronkach, pomknąłem do Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Już jednak na ulicy Armii Czerwonej spuściłem nos na kwintę mijając przychodnię. Taki rupieć na takiej ulicy? Toż to czystej wody akt antyradziecki!

Z ponurego nastroju wyrwał mnie szczebiot przedszkolaków, hałasujących w parku. O odnowie nic nie słyszeli, nic nie wiedzą i nie spotkali, ale mogą mi powiedzieć wierszyki. Krzyś Kotowski, aniołek z blond loczkami, cały przejęty, recytuje:

Jestem polskim dzieckiem
I cieszę się z tego,
że nad naszą Polskę
Nie ma nic lepszego.
Ten jest kraj wspaniały,
Nad którym się wznosi
Polski orzeł biały.
Bijemy brawa i prosimy o jeszcze.
Kto stoi na posterunku?
To pan milicjant
w pełnym rynsztunku.
Pilnuje porządku wszędzie —
Niech w naszej Łomży
Przyjemnie będzie.

Proszę uprzejmie mego dzielnicowego o zapamiętanie, że to ja — Adam Jerzy Socha — podałem ten wierszyk do druku. Odnowa odnową, a z władzą trzeba dobrze żyć.

U wejścia do KW PZPR zatrzymuje mnie „cerber". Dopiero widok legitymacji prasowej robi mi przejście. Co będzie, jak zapuka tu towarzyszka odnowa bez legitymacji? Odejdzie z kwitkiem? Szkoda by było, gdyż Mieczysław Brzezicki, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej, twierdzi, że grunt w Łomżyńskiem nieco lepszy pod odnowę niż gdzie indziej.

— U nas szybciej przyjmuje się odnowa. Są sfery i płaszczyzny, gdzie już zakiełkowała — mówi. — Odnowa to poszerzanie frontu zbiorowego myślenia, ufanie ludziom, radzenie się ich. Żadna władza siedząca w biurze prochu nie wymyśli. Najlepiej pan zrobi, jak zapyta o odnowę prostych ludzi — sól naszej ziemi.

Sól ziemi. Gdzie znajdę tę najbardziej gorzką, jak nie w kolejkach. W mięsnym na ulicy 22 Lipca tylko mięso ludzkie. Dostawa może będzie, a może nie. Odnowa? Nie sprzedają tutaj czegoś takiego.

— Człowiek stoi cały dzień i odchodzi z niczym — żali się kobieta. — Wracam do domu z duszą na ramieniu: co dzieciom powiem, czym je nakarmię?

Sól ziemi. Czy nie będą to ludzie gnieżdżący się, jak szczury w norach, przy ulicy 22 Lipca 9 i ulicy Buczka 5? Ładne fasady kryją szkaradne tyły. Na podwórzu zatyka potworny fetor. Rojowisko much unosi się szumiącą chmurą nad rozkładającą się górą odpadków i fekalii. Pukam do jednego z mieszkań. Dwie kliteczki: kuchnia i pokój — nazwy umowne. Jak tu mieszczą się cztery osoby?

— Nas odnowa nie dotyczy — mówi jeden z lokatorów. — My ciągle po staremu.

Po wyjściu na ulicę czuję się tak, jakbym opuścił mroczne kazamaty. Jasna, zalana potokami słońca ulica jeszcze ten kontrast wzmacnia.

Przy seminarium zagaduję młodziutkiego kleryka. Na dźwięk słowa „odnowa" odskoczył jak oparzony, zamamrotał, że on polityką się nie para, i śpiesznie się oddalił. *Salve apege satanas, salve apage...*

Sól ziemi. Zachodzę na zebranie Zarządu „Solidarności". W kącie sali stoi brązowy Aleksander Zawadzki. Kosztował wedle luźnych szacunków — od 400 do 500 tysięcy złotych. Miał stanąć przed nowym KW PZPR.

— Ile to ludzi miałoby dach nad głową — zwraca się do mnie siedzący obok mężczyzna.

Aleksander Zawadzki nie śmie patrzeć na zebranych. Za kogoś wyraźnie się wstydzi. Zebranie otwarte. Padają g o r z k i e słowa. Sól. Tak, tutaj też jest sól.

— W imieniu 450-osobowej załogi MPGKiM chcę przekazać trzypokojowe mieszkanie przy ulicy Armii Czerwonej numer 76 lekarzom. Mieszkanie stoi puste od dwóch lat.

Po dzisiejszym zebraniu stanie się ono solą w oku władz miasta. Tutaj czarne jest czarne, a nie różowe.

✸

Późną nocą opuszczam siedzibę „Solidarności". Same nogi niosą nad Narew. Nagle wyrasta przede mną, jak spod ziemi, Narwiański. Z ogona ścieka mu woda. Na brzeg gramolą się jeszcze Biebrzański i Bużański.

— Brr — prycha ze złością Narwiański, wyżymając wodę z ogona. — Kiedyś był tu most, nikomu nie wadził, a jakiś bęcwał, niech się wiecznie w piekle smaży, kazał go rozebrać.

— A kolega czego po nocy szuka? — zagadnął szczękając zębami Biebrzański — Chce do naszej diablej kompanii przystać? Prosimy, prosimy.

— Dziękuję za zaufanie, ale nie pora na to; muszę do rana odnaleźć odnowę. Inaczej szef z roboty mnie wyleje — zwierzyłem się ze swego zmartwienia.

Diabły, jak to usłyszały, zaczęły tarzać się po łące ze śmiechu, wierzgać kopytami, bić się z uciechy po kosmatych udach.

— Słyszeli koledzy? — Narwiański obrzydliwie zarechotał. — Redaktorek odnowy szuka. Oj, jak powiem znajomkom na Łysej Górze, to skrętu kiszek dostaną.

Rozeźlony, zaproponowałem diabłom spisanie cyrografu. Ja im duszę, oni mi odnowę dostarczą.

— Nasze piekiełko robi tylko dobre interesy — dumnie odrzucił ofertę Bużański. — Za taką umowę Lucyper Koziara by nas w wodzie święconej przez rok moczył jak śledziki. Nie ma głupich.

Wracałem cichymi ulicami do redakcji. Przy „Polonezie" zastałem Szeryfa. Też nie widział, a obchód robił skrupulatny. Obiecał rozesłać listy gończe.

U W A G A !
Poszukuje się odnowy.
Za dostarczenie, wyłącznie żywej, wysoka nagroda w postaci dodatkowych kartek na kartki.

Fot. GABOR LÖRINCZY



spięcia

Szewc pracuje bez butów, krawiec — bez marynarki, rybak nie jedząc ryb, a Śląsk — bez surowców energetycznych. Dowód? Ostatnio Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane całe swoje przydziały węgla wysłało do Katowic. Morał tej powiastki: dyrektor ŁPB pracuje bez... No, właśnie — bez czego? Czekamy na trafne odpowiedzi.

*

Po Kupiskach Starych biega ostatnio indywidum w poplamionym mocno przyodziewku i zagląda mieszkańcom: a to do łóżka, a to do garnków, strasząc, że jest z „Kontaktów". Znak szczególny: dech napitego smoka. Odcinamy się od osobnika chyba że przyjdzie po kartkę na aerozol.

*

Na próżno mieszkańcy wsi Oławskie wypatrywali przedstawiciela GS w Ciechanowcu, który miał uzgodnić z nimi sprawę budowy sklepu. Wsiąkł w sąsiedniej wsi — tam wyraził zgodę na budowę przybytku handlowego. Miejscowi chłopi wystawiają czujki, by nie przeoczyć wysłannika GS, który powiadomi o tym fakcie osobiście, bo takie dziwne nabranie wody w usta, to — nie je uczciwe — powiadają. Lepiej chłopy weźta się za ogrodzenie drogi do wsi kolczastym drutem, by żaden z emisariuszy dobrobytu nie chodził na boki.

*

Właściciela poloneza nr rejestracyjny LOM 38-92, który zakupił 30 lipca o godzinie 17.30 stertę konserw z wołowiny w „Taniej Jatce" przy Szosie Zambrowskiej, a nam zostawił zamknięte przed samym nosem drzwi i kartkę: *„Dziś towaru nie będzie"* prosimy o podzielenie się z sąsiadami: Niech nie będzie taki chytry i da.

*

W Kolnie oddano do użytku Klub Seniora zapewniający 80 osobom całodzienny pobyt i wyżywienie. Podobna placówka — na 50 miejsc — działa od 5 lat w Zambrowie. A co w stolicy województwa? Echo dwuletnich westchnień i oczekiwań Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej na odpowiedź z Urzędu Wojewódzkiego, gdzie zaległo pismo i monity w sprawie utworzenia takiegoż Klubu w Łomży.

*

Jak podaje przedstawiciel Zarządu Gminnego NSZZ RI „Solidarność" w Klukowie, w miejscowości Wyszonki Kościelne stosuje się taką receptę na brak towarów: jeden drugiemu daje po gębie i rozchodzą się w spokoju do domów. Razy rozdziela się tym, którzy ustawiają kolejki i próbują w punktach sprzedaży utrzymać porządek. Do śmierci zapamiętają, że coś im się w kolejce dostało!

*

Rolnicy z Kossaków Nadbielnych wożą mleko do sąsiedniej wsi Mężenin, gdzie muszą otrzymać kwitek z podpisem tamtejszego zlewniarza stwierdzający, czy nadaje się ono do przyjęcia w skupie, a dopiero z nim i mlekiem wracają do swojej macierzystej zlewni. Zyski tego obyczaju są ewidentne: nikt nie powie, że „wsiowy" punkt skupu jest niepotrzebny, a wydłużenie drogi mleka daje złudzenie, że jest go znacznie więcej. Iluzji nam trzeba.

*

Prezes GS-u w gminie Rutki skutecznie stosuje nową formę redystrybucji partii transporterów wódki — jeden dzieli między swych pracowników, drugi odstawia do sklepu, zaś pozostałe targa do Zambrowa, z którego sam pochodzi. Życzliwi jemu dowodzą, że wódka wędruje taki szmat drogi, by u mety osiągnąć paskarską cenę 600 zł od „połówki".

wstęp

Powszechnie znana jest przez tych, którzy zajmują się nauką i tych, którzy żyją spokojnie, kiedy inni jej się poświęcają — tendencja do coraz dalej idącego procesu uszczegółowiania się nauk ogólnych. W dzisiejszej dobie jest ich tyle, że długo trzeba by mówić, chcąc wymienić wszystkie. Ale nie jestem wrogiem tego zjawiska. Wydaje się ono czymś wyjątkowo naturalnym i potrzebnym. Życie nasze przecież gmatwa się coraz bardziej i bardziej, więc powinno chyba nadążać za tym i komplikowanie się poszczególnych jego dziedzin. Zgodnie z duchem naszego trudnego czasu postanowiłam położyć tu skromną cegiełkę i zająć się stworzeniem podwalin nauki szczegółowej, dyscypliny penetrującej naszą wspólną codzienność — kolejkologii. Jest to wyraz dwuczłonowy: kolejka — słowo o pochodzeniu rdzennie polskim oznacza sytuację oczekiwania na kolej rzeczy lub rzeczy kolejność, natomiast „łogia" — wyraz pochodzenia greckiego, oznacza słowo o czymś, naukę o przedmiocie. Przedmiotem kolejkologii są, jak łatwo się domyślić, kolejki. Ciągle i nagminnie wręcz narzeka się na brak związku nauki z praktyką. Chcąc uczynić uprzedzenie i wyprzedzenie wobec tego zarzutu udałam się do kolejki. Nie wybierałam jakiejś specjalnej, a zastosowałam metodę pierwszeństwa czasowego i przestrzennego. Spotkać ją teraz bardzo łatwo — gdzie człowiek nie pójdzie, ma otwarte pole do badań.

A oto bezpośrednia diagnoza obrazu, który ukazał się moim oczom. Kolejka długa, zawiesista i spieniona, o kształcie butelki, szerokim dnem przywierającej do okienka. Łatwo było domyślić się, że prowadzi do sklepu monopolowego. Zresztą okazało się to prawdą i ucieszyła mnie wysoka rzetelność i odpowiedzialność mego systemu skojarzeń.

Dalej uczyniłam następujące kroki badawcze: podeszłam do rosnącego nie opodal czoła ogonka drzewa, oparłam się o nie, wyciągnęłam notes, długopis i tak przygotowana do pracy zaczęłam obserwować i notować.

Wnioski, które udało się z poczynionych obserwacji wyciągnąć, dotyczą nie poszczególnych kolejkowiczów, a całej kolejki, pojmowanej jako ich zbiór, a więc pewnej społecznej grupy, powiedzmy to jeszcze dokładniej — kolejkowiczowskiej społeczności.

Dało się zauważyć, że pod względem aktywności rozpada się ona na trzy wyraźne kategorie: bardzo aktywnych, biernych — zrezygnowanych i obserwatorów — komentatorów.

Osobnik znajdujący swoje odbicie w kategorii pierwszej ma do wyboru trzy typy zachowań. Może być rozpychaczem — krzykaczem — nadeptywaczem — wymachiwaczem: „a ja ci pokażę"; może być handlarzem, tzn. raczej handlarką, wyróżniającą się zdecydowanym makijażem, farbowanymi włosami i nieudawaną pewnością siebie; może też być (i to jest możliwość wyczerpująca tę kategorię) pilnowaczem lub naprawiaczem kolejkowej rzeczywistości. Celem tego ostatniego jest — jak się wydaje — realizacja wyobrażonej, utopijnej kolejki. Co ciekawe, potwierdza się, że utopia jest utopią, a znajduje to praktyczny wyraz w tym, iż kolejni naprawiacze ulegają magii życia realnego, tj. migających w rękach ekspedientek butelek i kupują szybciej niż ich bezpośredni kolejkowi przodkowie. Wtedy odchodzą chyłkiem, odprowadzani wrogimi spojrzeniami i obelżywymi zwrotami, które wzdragam się tutaj cytować.

Ogólnie biorąc, grupa bardzo aktywnych charakteryzuje się roztrzepotaniem, ciągłym ruchem, gwarem i prostotą kontaktów między sobą.

Kategorią bierno — zrezygnowanych nie ma potrzeby zajmować się długo, gdyż składa się ona z osobników rzeczywiście smutnych, bez poczucia wpływu na przebieg wydarzeń, stojących z opuszczonymi głowami i torbami.

Kontynuując próbę systematyzacji społeczności kolejkowiczowskiej wypada scharakteryzować kategorię wyróżnionych powyżej, prócz wymienionych, obserwatorów — komentatorów. Składa się ona z jednostek, które opuściwszy swoje dalekie miejsca w kolejności — stając jak najbliżej czoła kolejki, ale jednocześnie dbając o zachowanie pasa bezpieczeństwa — obserwują i relacjonują przebieg akcji. Następuje wymiana uwag, komentowanie zachowań poszczególnych aktywnych, gromadzenie się w parach i trójkach. Jak ustaliła obserwacja, celem nadrzędnym działań tej kategorii jest narzekanie i wzajemne wyżalanie się przed innymi.

A oto fragmenty żywych zapisów, dokumentujących moje wywody:

— Moja noga, ratunku, noga!!! — krzyk kobiety stojącej tuż przy okienku; o charakterze przeciągłym, bolesnym i niemiłym dla ucha.

— A to łobuz! Ten rudy! Wczoraj to żyletką groził! Wszystko na kartki, tylko to draństwo nie na kartki. Jak człowiek porządny chce butelkę kupić, to nie dopuszczą, a wiadomo — potrzebny; to świnie jedna z drugą nie dadzą! A później sprzedają po pięćset złotych!

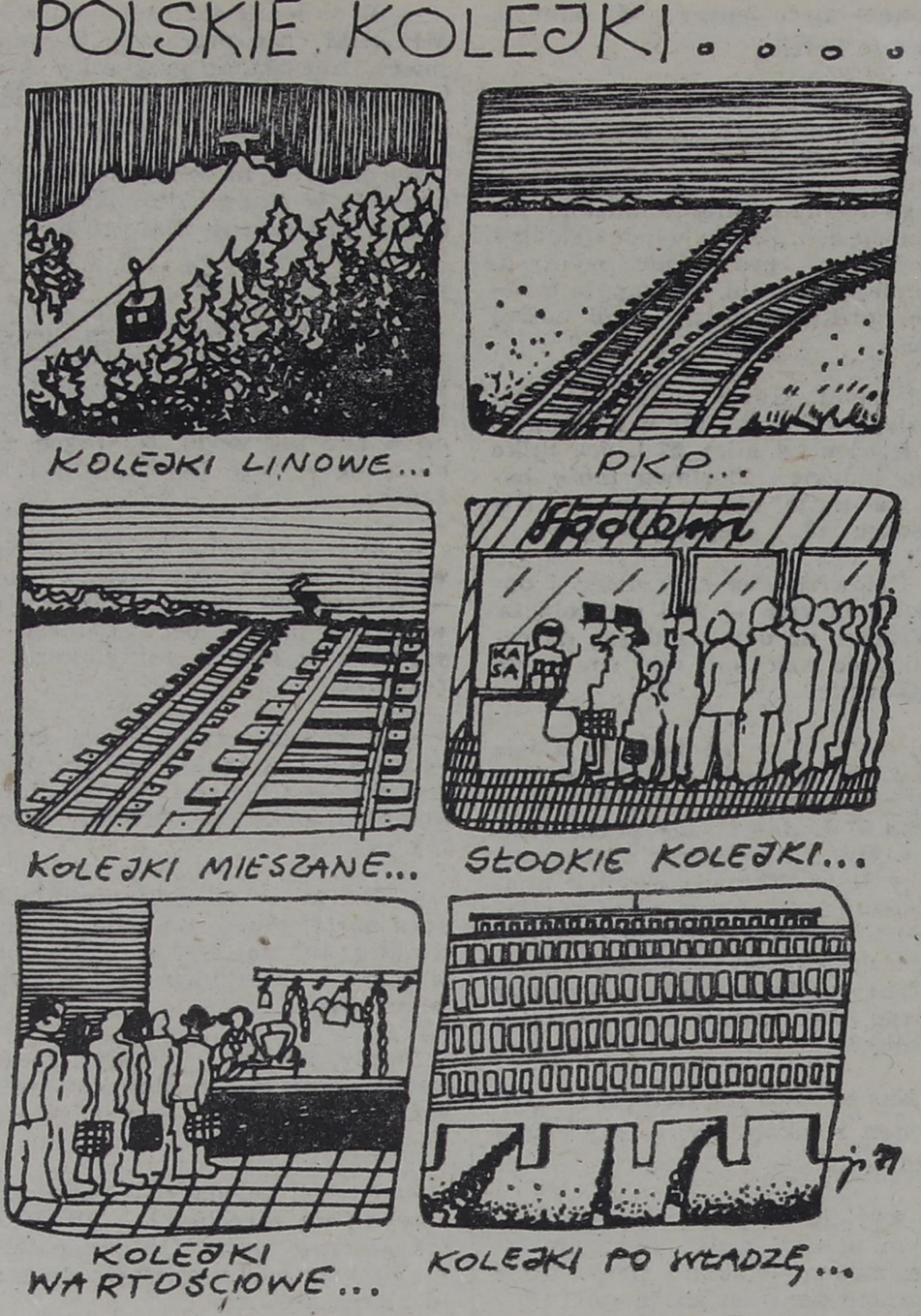
— Proszę pani! Ja jestem z komitetu osiedlowego. Mówiłem jej (ekspedientce): „Proszę pani, tak nie można. Nie można! Rano trzy samochody przyjechały; po dwadzieścia, po trzydzieści butelek do bagażnika. To wszystko ta sama szajka! I co im zrobisz! I wszystko na oczach ludzi!

— A pani z „Solidarności"? Bo ja tak! Niech by przyjechali, zobaczyli, co się tu robi! Mężowie piją, baby narzekają, a teraz tyle ich w kolejce!

— Hej, mały, gdzie się pchasz, wstydu nie masz, już trzeci raz?!

Fragment dialogu:
— Szczęśliwi panowie?
— Bo ja wiem. Tyle stania, ale... co się ma, to się ma.

IRENA BOROWIK



Rys. JERZY SWOIŃSKI

do kolej-kologii

refleksje

sen eko-no-miczny

Przed paru dniami przyśniło mi się, że stoję pod „Pewexem" i usiłuję ludziom wcisnąć kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich.

— Czyś pan zgłupiał — mówią ludzie. A ja zupełnie poważnie: — Tanio oddam, po 200 dolców za złotówkę.

— A w markach erefenowskich nie może być? — Pytają.

— Dlaczego nie? Tylko ile to będzie marek?

— Funtów brytyjskich pan nie weźmie?

Moi znajomi, gdy opowiedziałem im ten sen, zarykiwali się.

— Co byś zrobił, jakby ci ktoś dał te dwieście dolarów?

— Co bym zrobił? Sprzedałbym. — Moja odpowiedź wywołała taką samą salwę śmiechu jak opowieść o śnie.

— A wy byście nie sprzedali? — Zapytałem z poważną miną.

I znowu chichoty. A przecież to wszystko, co robiłem we śnie wcale nie było takie absurdalne. Cała gospodarka rynkowa polega przecież na tym, że jeden proponuje, a inny na tę propozycję przystaje. Więc gdyby ktoś mi dał 200 dolarów za złotówkę, to z punktu formalno prawnego tej transakcji nic nie można zarzucić. Gospodarczo zaś ja odniósłbym sukces, a ten drugi mógłby co najwyżej wmówić swoim najbliższym, że zrobił dobry interes. Ale towary miałbym ja, bo bym sobie je kupił. A ten drugi — przeświadczenie i świadomość.

Pasuje to jak ulał do dzisiejszej sytuacji. Co kilka dni pojawia się w naszym kraju ktoś mądry i wygłasza w Telewizji „mowę" o tym, co trzeba robić, aby uratować naszą gospodarkę od kompletnego fiaska. Facet ma zazwyczaj odpowiednie tytuły i dorobek naukowy, mówi nadzwyczaj rozsądnie, określiwszy przedtem — bardzo ogólnie (z braku czasu) — podstawy, na jakich swój wywód buduje.

Nie szkodzi, że nikt tego nie rozumie, za to później wszystko jest jasne. Facet mówi z ogniem — bo kocha dziedzinę nauki, której się oddał.

Do takich zaliczam ministra profesora Zdzisława Krasińskiego, który 29 lipca przekonał mnie przed kamerami telewizyjnymi, że lekarstwem na wszystkie nasze niedomagania jest reforma cen.

— Najpierw przetwory zbożowe — powiedział — potem mleczne... Uwierzyłem — od ręki. Ale już 30 lipca straciłem wiarę i odbudowane we mnie zaufanie do telewizji. Chyba znów zacznę wierzyć, że tylko pies Cywil nie zawiedzie. Oto bowiem z kolei minister Wojtecki uświadomił mnie, że będziemy mieli kiepski rok. Zboże wygniło na południu Polski, kartofle, itp. Przypomniałem sobie mowę ministra profesora.

— I jak on teraz zrobi reformę? Cenniki do konsultacji wydrukowane, rezerwacja miejsca w hotelu, gdzie mieszka, się kończy, a tu wymyło, wyprało, potopiło. Chłopi podbiją ceny jak nic. No bo jeśli tam — na południu, będzie wszystkiego brakowało, to rolnik wynajmie wagon kolejowy, zawiezie i sprzeda. Będzie mu się to bardziej opłacało niż na skupie. A w ogóle to chyba minister będzie musiał wymyśleć jedne ceny dla chłopów—rolników, a inne dla robotników. Bzdura? Czyżby? Czy nie mamy w naszym kraju kilku gospodarek? Rynkową — na wsi (chłop bierze za to co, produkuje, ile mu się powie). I planową — socjalistyczną, która płaci za te powiedzonka — prądem, benzyną, usługami, nawozami, maszynami. I jeszcze słyszy, że to wszystko za mało (kombinuje się więc ostatnio, żeby wysyłać ludzi na wieś do roboty).

Obok tych dwu jest jeszcze gospodarka podziemna, pasersko-paskarska, gdzie inflacja sięga dziś 200 proc. Butelka „patykiem pisanego" kosztuje tam 120 złotych, zbożowa 500.

Co to jest cena? W encyklopedii ekonomicznej znalazłem taką definicję: *„cena jest to wartość towaru wyrażona w pieniądzu"*. Pieniądze mamy. A towary? Kilku ministrów powiedziało w wywiadach dla prasy — że nie. A zatem na co będziemy ustalać ceny?

Wartością w ekonomii politycznej socjalizmu jest czas społecznie niezbędny na wytworzenie jednostki towarowej. W natłoku idei, pomysłów, projektów reform nie dostrzegamy, że sprawa gromadzenia tych wartości nam ucieka. Na przykład dajemy rolnikowi traktor — na który swój czas społecznie niezbędny oddał: hutnik, górnik, mechanik, elektryk — i nazywamy go żywicielem narodu, łaskawcą nieledwie: gdy on, przy pomocy tego traktora, wyprodukuje kartofle. Mało tego, sami w to wierzymy. Nawet wówczas, gdy chcąc udowodnić, że proporcje cen są niewłaściwe, chłop porównuje cenę lemiesza i zboża — profesorowie biją brawo. A gdy potem wykupuje mleko ze sklepu i dolewa do tego, które sprzedaje na skupie — zamykają oczy.

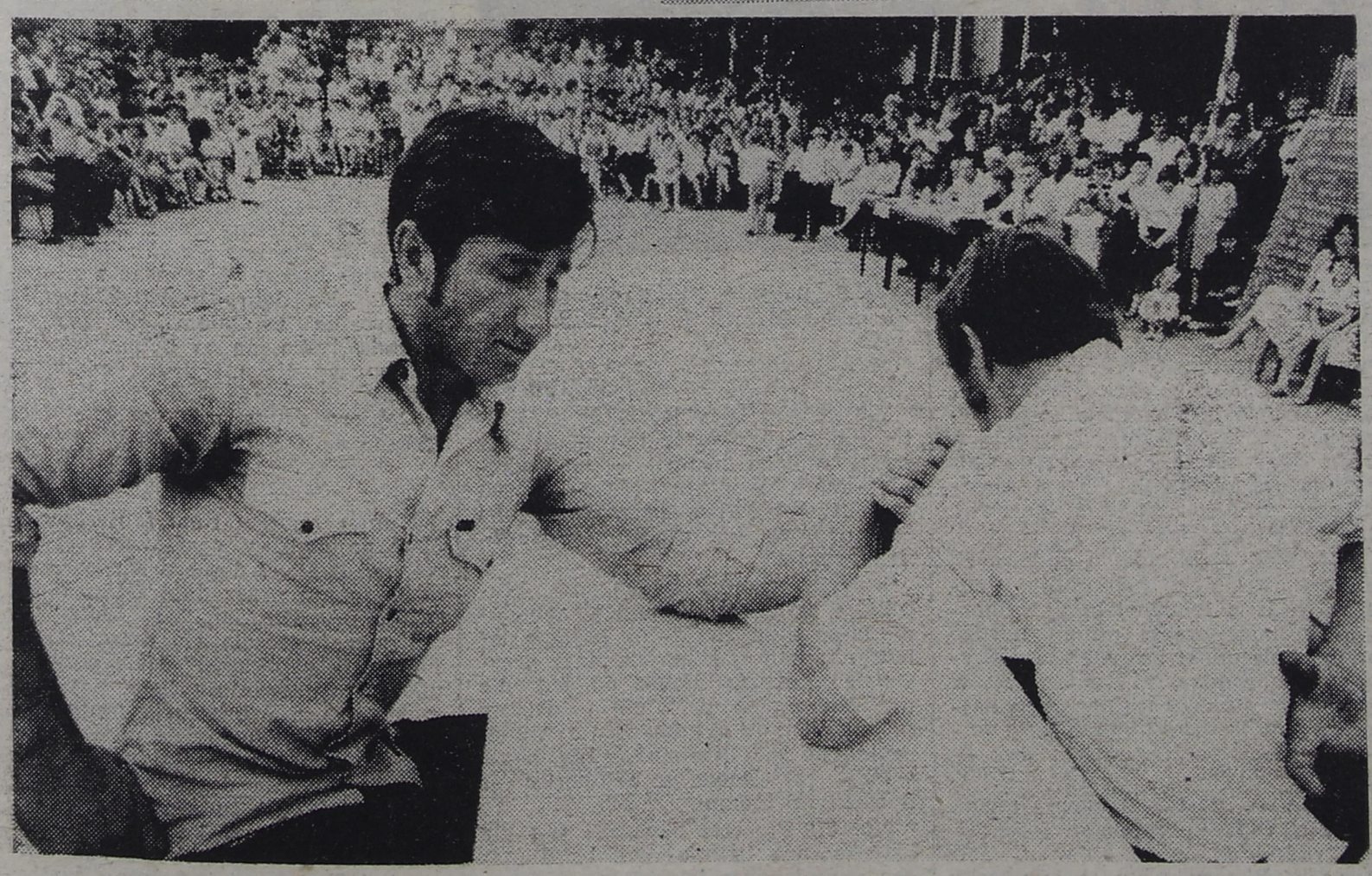
Ciekaw jestem, jak w tym bałaganie wartości profesor minister znajdzie tę właściwą?

ZENON PIECHOCIŃSKI



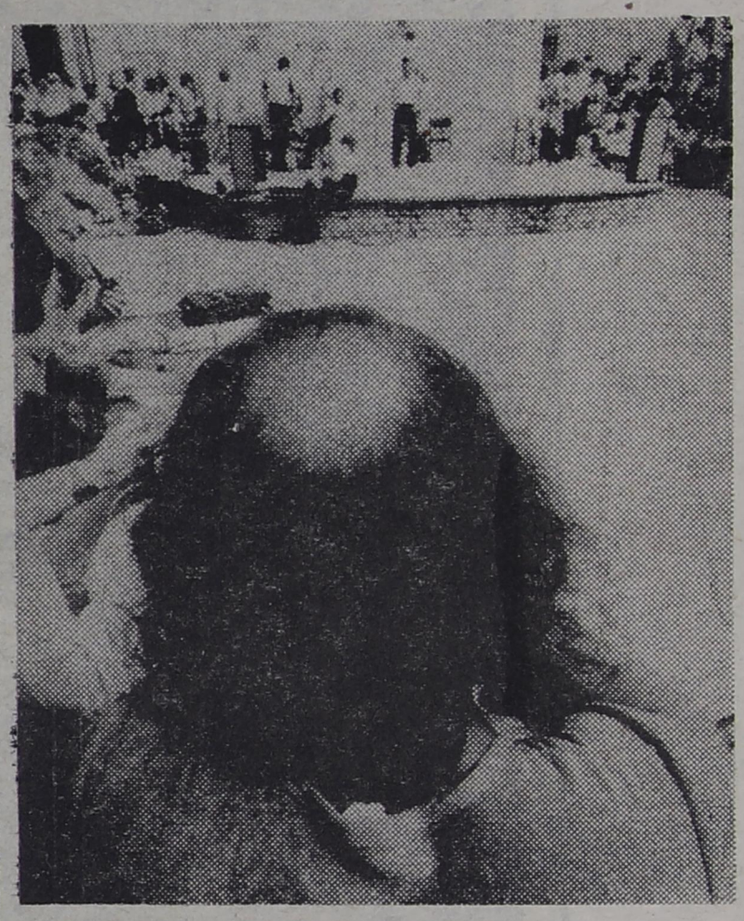






PRZYŚPIEWKI NA BIAŁOSUKNIE

Kawalerzy i panienki,
Posłuchajcie tej piosenki.
Otóż właśnie chcę nadmienić:
W Białosukniach chcą się żenić.
Zebrały się Kaśka z Martą,
Wypchały se cyce watą,
A tej trzeciej spod sweterka,
Wystawała jakaś derka.
Ludzie im się przyglądają,
Że za duże cyce mają.
Mówi matuś do swej córy,
Żeby poszła szczypać kury.
„Jakże ja mam macać kury?
Mam na palcach manikury.
Matuś moja, daj patyka —
Pójdę zaraz do kurnika".
Wyskoczyła kura z krzykiem
I tak lata z tym patykiem.
Ożeń że się z taką, bracie,
Będziesz miał porządek w chacie.
Będziesz pieścił i całował
I sam sobie jeść gotował.



PRZYŚPIEWKI NA OSOWIEC

Osowiec jest duża wieś
Jest połowa sklepu, poczta,
biblioteka.
Tam sklepowa chytra jest:
O północy wstaje,
Chłopcom wypić daje —
I co jeszcze chcesz?
Mleczarzowa, baba fest,
Śmietanę wypije,
Chłopów w kieszeń bije —
I co jeszcze chcesz?
W Osowcu orkiestra jest
Tam anioły grają,
Komary pętają —
I co jeszcze chcesz?
(„Turniej wsi". Białosuknie — Osowiec Goniądz, 19 lipca 1981 r.)



fotoreportaż Gabora L...

próba 5

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

reduta



pokolenia

Dla lepszego zrozumienia nielicznych kartek z mojego pamiętnika chciałbym przedstawić niektóre osoby zaludniające ten maszynopis tak gęsto, jak moje życie.

KLASA — Rzeczpospolita Szlachecka żyjąca w kompletnej anarchii; grupa 37 osób, podzielona na liczne mniejsze grupki, potrafiąca jednak stanowić solidną całość w chwilach zagrożeń swobody.

CIAŁO PEDAGOGICZNE — ludzie nie tworzący jednego frontu, kształcący młodzież najróżniejszymi metodami. Stąd możliwość stworzenia tak luźnej grupy, jak nasza klasa.

ANTONIO — człowiek-historia, lubujący się w opowieściach z życia wziętych. Chętnie wspomina swoje sztubackie czasy, czasami dyskutuje o piłce nożnej i rysuje schematy każdej sytuacji na tablicy. Jego manią jest stawianie przy nazwisku odpowiedniego indeksu np. K — kombinator, L — leser, P — palacz, C — cwaniak, F — fotograf itd. Jednym słowem: specyficzna natura, trudna do opisania.

ŁYSY — Inteligentny i kulturalny oficer rezerwy WP, tępiący papierosy i alkohol. Próbował wychować nas na bardzo porządnych ludzi.

STASIO — matematyk, próbujący usilnie przekazać swoją wiedzę; na próżno. Facet mający swoje zagrywki, ale jednocześnie przymykający oko na nasze wybryki. Jego dewiza: „Chcesz się uczyć, proszę bardzo, jeżeli nie, nie będę cię zmuszał".

KRWAWY MUNDEK — najmniej odpowiedzialny człowiek. Bez żadnego autorytetu wśród młodzieży. Zakała nauczycieli. Okropnie nielubiany przez ogół klasy z powodu swojej tępoty.

GAŁGAN — uczył nas bhp i dorywczo elektrotechniki. Piekielny konserwatysta lubiący dyskusje, które z reguły kończyły się omawianiem sytuacji polityczno-gospodarczej w kraju. Jego zaletą było czytanie gazet podczas klasówek. Gazety kupowaliśmy mu ze składki klasowej, zbieranej specjalnie na ten cel.

DŻIUZEF — kumpel o podobnych zainteresowaniach, jednocześnie zupełne moje przeciwieństwo. Najbardziej lubiany przeze mnie, bardzo równy, koleżeński człowiek, z niebywałym optymizmem patrzący w przyszłość. Pomógł mi przeżyć najcięższe chwile, kiedy byłem kompletnie załamany po tragicznym wypadku.

GIENA — postać dziwna, jedyna w swoim rodzaju: reporter, fotograf. Typ trudny do opisania w dwóch zdaniach. Wiecznie nie mający czasu. Potrafił jednocześnie przesypiać całe dnie.

PIZDUŚ — niedoszły pogromca Einsteina. Miewa szalone pomysły. Zagorzały obrońca Piłsudskiego.

AUTOR — MacRELA, człowiek najmniej zasługujący na uwagę. Niepoprawny marzyciel, bez celu w życiu i bez nadziei na lepsze jutro. Lubi ładne dziewczyny, nie znosi pracy, eks-sportowiec, członek szkolnego kabaretu, bez żadnego wkładu w jego działalność. Pragnie szczęścia, a nic nie robi, aby je osiągnąć. Pasożyt.

10 II 1978 r.

Ale dzisiaj były jajca nie do wytrzymania! To warte jest notatki w podręcznikach historii — co najmniej krótkiej notatki. Może nie jest to fakt wpływający bezpośrednio na losy państwa, ale ukazuje, jak młodzież rośnie.

Starym naszym zwyczajem ograbiliśmy kolegów z drugiego śniadania, a po skonsumowaniu posiłku należało zapalić, jak mawia stare przysłowie: „Każdy Polak po jedzenie nie zapomni o p...". No i idziemy z Dżiuzefem na dymka, a tu dzwonek na lekcję. Nie! Nie można tak, panie woźny, grać sobie w bajobongo z poważnymi ludźmi.

Nic to! Przecież dzwonek jest dla belfrów, jak usilnie nam to tłumaczą przeciągając lekcje na przerwy. Stąd wniosek, że i ten jest też dla nich.

Wchodzimy do „gabinetu", patrzymy, a tam stoi Popiółka! O kurde moll! Trzeba zachować pełną kulturę i palić co najmniej jak w „Forumie"! No to co, po całym, jak stare chłopy, i do Antonia na lekcję. Palimy, palimy i gadamy o bieżących oraz palących problemach, które nurtują dzisiejszą młodzież.

Wtem jakaś jasność ogarnia łazienkę, która oślepia dwóch ambitnych ludzi. Wiadomo kto to i co to. To przecież nasze Słoneczko — Łysy, jak pragnę podskoczyć! Tak, nie ma wątpliwości, to on! Cięta bestia na palaczy. Ale jakoś nic: wlazł, stanął i stoi. Widocznie przybył tu w innym celu. To dobrze! Wykorzystuję moment ogólnego zaskoczenia i — wypuszczając dym — zaczynam obrończą przemowę od słów: „Dzień dobry, panie sorze. Jest nam niezwykle przykro, że spotykamy się w miejscu niezbyt nadającym się do kontaktów towarzyskich na szczeblu lokalnym, ale to przecież nie nasza wina!" Itp.

Dżiuzef wspomaga mnie, jak może, i gestem teatralnym (trzymając jeszcze papierosa w ręce) daje Łysemu do zrozumienia, że nawet najlepszym się zdarza.

Łysy rzekł tylko, żeby zgasił, bo się sparzy, i że sytuację powyższa komentarza nie wymaga. Wariat czy co?! Po raz pierwszy się zdarzyło, aby uczniowie IV kl. potrafili zaskoczyć tak wytrawnego tropiciela palaczy!

Ale — ogólnie rzecz biorąc — dlaczego nie chcą zrozumieć, że skoro palę, to i tak będę palił, bez względu na to, czy będą mnie ścigać, czy nie! A owoc zakazany lepiej smakuje. Ciekawe, komu najpierw się znudzi: belfrom ganianie czy nam palenie?

17 X 1978 r.

Dzień pełen zwyczajności i jednej nudy. Dobrze, że tylko jednej, bo dwóch bym chyba nie zdzierżył. Od kompletnego zanudzenia się uratowało nas kilka epizodów. Otóż najpierw było pełne zaskoczenie na automatach, kiedy nagle, gdy Antonio zaczynał gadać coś o regulacji drzwi, te otworzyły się i weszli Giena i Kościuszko; obaj, jak Boga kocham! Antonio tak był przerażony powyższym wydarzeniem, że zapomniał o układach inercyjnych i stanął jak uczniak pod tablicą. A chłopaki, jak gdyby nigdy nic, powiedzieli grzecznie „dzień dobry" i usiedli w ławce. W nie mniejszym stopniu zaskoczona była klasa, bo fąktycznie rzeczą bardzo dziwną było pojawienie się Gienka i Kościuszki na lekcji jednocześnie. Do tej pory chodzili na zmianę.

Gdy Antonio ochłonął, ucieszył się bardzo z ich przybycia, a potem wstawił po „Kombinatorze". Dlaczego? Przecież zasługiwali na L — jak leser. Coś psuje się Antonio, ale to i dobrze, bo zawsze przyjemniej w większej grupie oczekiwać na egzekucję.

Drugim plusem tego faktu jest to, że uratował mnie od pytańska, bo tak się głupio składa, że jestem pierwszy do odpowiedzi, a przy okazji — najmniej kompetentny w dziedzinie automatyki mechanicznej.

No i potem znów nuda. Antonio plótł bzdury, Prezydent czytał przede mną gazetę, a Dżiuzef gonił mnie do rozegrania następnej partii w kółko i krzyżyk. I tak graliśmy sobie aż do matmy, na której Stasio powiedział, że jesteśmy stare konie i że dwója to dla nas chleb z margaryną, więc będzie je stawiać z uśmiechem. Na dobry początek spytał... Faktycznie uśmiałem się zdrowo. Szkoda tylko, że to byłem właśnie ja, bo wpadła mi druga bania z matmy.

Dopiero druga, więc o co ci biega?

1 VII 1979

Humor miałem rano fantastyczny, choć do godziny wychowawczej nic się nie działo. I dopiero wtedy — po odśpiewaniu przez duet Dżiuzef end MacRELA „Bradiagi" i „Wołgi" — coś niecoś zaczęło się dziać. Kiedy już umilkły „oklaski", Hela przystąpiła do sprawdzania listy, a potem rzekła, że ma broszurkę antyalkoholową, co spowodowało powszechną radość. Wreszcie kazała ją odczytać, czym wzbudziła dosłownie histerię śmiechu! Dwóch ludzi na „gigancie", trzech na zwykłym kacu, jeden jeszcze na klinie, a Hela chce czytać broszurkę! To przecież świetny żart!

Oczywiście, wszyscy dobrze wiemy, że alkohol to nasz wróg, ale

czy to nasza wina, że nie ma co robić z czasem wolnym? Niby średniej wielkości miasto, a rozrywek nie widać nawet na lekarstwo.

Hela mimo wszystko postanowiła odczytać tę nieszczęsną broszurkę. Trudno. Jedni pisali matmę, drudzy czytali gazety lub książki, a my z Dżiuzefem — jak zwykle — rozgrywaliśmy w kółko i krzyżyk partię nr 29 (dzisiejszego dnia). Niektórzy sobie ucięli krótką pogawędkę albo drzemkę. Jakiś rejwach zwrócił uwagę pani sorki. Swoje niezadowolenie wyraziła słowami: „Wy siedzicie i sobie gadacie, a ja muszę stać i czytać!"

To nas zelektryzowało, powstaliśmy na komendę, tzn. my oba — we dwóch, Dżiuzef, jako dżentelmen, chwycił krzesełko, podsunął kobiecie i grzecznie poprosił, ażeby usiadła. Hela odmówiła, więc Dżiuzef wrócił do ławki, stanął obok mnie i stoi.

Klasa — w oczekiwaniu na sensację — zamilkła. Helenka, lekko zirytowana naszym zachowaniem, zainteresowała się, dlaczego stoimy. Rzekłem, że dopóki sorka stoi, my też będzie stali, ażeby nie było przykro jej samej stać i czytać. Zaczęła się wymiana zdań coraz ostrzejsza i gwałtowniejsza, której finałem było pokazanie nam drzwi.

Gdy już byliśmy w okolicy wyjścia, pojawił się tam Vicek, który spytał tylko: „Ci dwaj?" Widocznie podsłuchiwał; możliwe, że usłyszał mimo woli krzyki Helenki. Cóż było robić — udaliśmy się na korytarz w asyście pana Vicka, który raczył nas zapytać o chęć do nauki w tej szkole. Zgodnie z prawdą odpowiedzieliśmy, że oczywiście takową posiadamy. Vicek poczuł się górą i przyparł nas do muru: „O co poszło?" Zacząłem tłumaczyć, że wynikło drobne nieporozumienie — oczywiście nie z naszej winy! — i sorka nie dała sobie nic wytłumaczyć.

Gdy tak nawijałem, otworzyły się drzwi i zajrzała przez nie sekretarka (nawiasem mówiąc — niekiepska babka). Wykorzystał ten moment Dżiuzef: stwierdził z całą pewnością, że sekretarka mówiła o telefonie do pana Vicka. Dyro, niewiele myśląc, odwrócił się na pięcie i poszedł.

Mieliśmy szczęście, że to był Vicek, bo Puzon by nie popuścił! Vicek jest trochę za bardzo roztrzęsiony.

Korzystając z tego, że już byliśmy za drzwiami, postanowiliśmy pójść na jednego dymka. Gdy tak sobie popalaliśmy, gadając o bieżących wypadkach, wpadła mi do głowy jasna myśl, cobyk zabawić się w aktora. Wiadomo: dyro nas wezwał, to zapewne dostaliśmy nieźle po uszach! Postanowiliśmy wejść do klasy z opuszczonymi głowami, z pokorą czołgając się w prochu poniżenia i żalu za grzechy nie popełnione.

Weszliśmy — cisza. Wszyscy wytrzeszczali się na nas, a nawet i Helenka pożałowała swojej bezwzględności. Dobra rzecz się działa. Wymyślaliśmy na zmianę najbardziej fantastyczne wersje opieprzania i konsekwencji, wyciągniętych przez dyra i radę. W końcu przesadziliśmy twierdząc, że za obrazę godności człowieka Vicek wytoczył nam proces.

Szkoda, świetnie się bawiliśmy.

1 IX 1979

Gdyby Giena porobił zakłady z całą klasą, miałbym kumpla milionera!

Do semestru jeszcze długie dwa dni, a Gienek ma już wystawionego fleka z matmy i grozi mu druga z akp. Pytam się człowieka, co zamierza robić. Gienek, jak zwykle, sczerwieniał, uśmiechnął się krzywo i rzecze, że on wyjdzie czysty na semestr. Przecież to pusty śmiech! Stoi bania, jak u mnie trzy, a on mówi, że wyjdzie czysto!

Długo nie kazał czekać. Po dużej przerwie zaglądam do dziennika, a tam trójka z akp i skreślona bania z matmy! Jezus Maria, Dżiuzefie święty, jak to się stało?!

Giena nic. Twardziel, milczy!

Po szkole, w KMPiK-u, Giena wyjawia nam tajemnicę sukcesu. Otóż parę dni wcześniej rozmawiał z Antonim i Stasiem, którzy — niezależnie od siebie — obiecali po trójce, jeżeli Giena będzie miał wystawiony taki stopień z jednego z tych dwóch przedmiotów. Mając banię z matmy Giena wziął dziennik i powalcował do Antonia. W jego pakamerze twardo przekonał faceta, że to, co stoi u niego w rubryce z matmy, jest najprawdziwszą tróją! Zapewne zaskoczył człowieka odwagą, bezczelnością oraz szybkością. W każdym bądź razie zahukany Antonio postawił Gienowi trzy. Teraz już wystarczył tylko lekki spacer do Stasia, który, zgodnie z obietnicą (i z żalem), skreślił wymalowaną banię. Gieniuś był czysty.

9 X 1978

I znów mam dzisiaj wisielczy humor. Powód? Prosty: jestem zakochany „nieszczęśliwie" w Mariolce. Nic nie szkodzi, powinno przejść, tylko kiedy? Tak à propos zakochania: ma ono nawet swoje dobre strony.

pasożyta



Otóż dzisiaj siedzę sobie na elektrze i patrzę bezmyślnie w okno. Gałgan wścieka się po klasie, rzuca osłami i jeszcze gorzej, a ja nic — siedzę i gapię się w to okno. W końcu zauważył, że mam go, wraz z jego elektrą, serdecznie i głęboko w d..., więc pyta się, dlaczego nic nie robię, tylko gapię się w okno. Odpowiadam — zgodnie zresztą z prawdą — że jestem zakochany. Wszyscy w śmiech! Nie wiem dlaczego; możliwe, że zabrzmiało to śmiesznie, wszak jeszcze nikt nie wyznawał miłości na forum całej klasy. Nieważne, głupki są i tyle.

Jednak Gałgan stanął na wysokości zadania i dał mi spokój. Niech Bóg mu w tłustych dzieciach wynagrodzi. Mogę spokojnie gapić się w okno i dumać nad marnością istoty ludzkiej. Gdzież ty, nędzny robaczku, się pchasz? Sam nigdy nie pokonasz ściany, tak samo twardej, jak twój pusty sagan, którym masz zamiar rozbić fortecę zbudowaną z lodu i obojętności.

3 II 1980

Zawsze jest dobrze coś umieć. Jedni umieją kraść, inni śpiewać, jeszcze inni mordować, a ja nawet strzelić kogoś w pysk nie potrafię! I bardzo dobrze! Jestem posożytem, i to jest właśnie to coca-coli łyk! Wprawdzie już od wielu długich i pięknych lat nie uczę się biologii, ale wiem, że bez pasożytów świat nie może istnieć. Ach, jak dobrze być takim drożdżem; bimberek nabiera wartości i ciastko na zagrychę ma lepszy smak.

Sam nic nie wymyślę, ale wypadałoby przynajmniej uwiecznić jeden z licznych poematów Dżiuzefa. Przypomina mi się dzień, kiedy dostał on fleka z niemieckiego i w przypływie żalu za utraconą tróją napisał „Redutę".

Wtedy jeszcze chodziło się na niemiecki, a teraz? Teraz szkoda czasu i nerwów. Żałować będę potem. A teraz POEMAT!

Reduta

Nam uczyć się nie dano.
Wstąpiłem do klasy — po drodze mi było;
Spojrzałem na belfra — i wzrok mi zaćmiło
coś niepojętego, co na kształt
powodzi
zalewając oczy, całą duszę głodzi
chęcią MORDU!
Zapytał — cisza... Tak padła reduta
Czyś ostatnim słowem
wzgardziwszy, w obolałą głowę
żagiew wkładając ostatnią iskrę
nadziei
rozniecił i zgasił?
Czyś świętą chęć zemsty,
w jednej chwili stracił?
Teraz już wiem skąd ta cisza,
bo nieraz widziałem
biednych uczniów, walczących ze
słówek nawałem,
gdy ze wszech stron obce wyrazy
spadają na głowę ucznia jak
bolesne razy
i ranią do głębi tę duszę znękaną
słówkami, ćwiczeniami, wymową
nie znaną,
a gdy już uczuje, że go pali głowa
rozogniona —
opuści ją i na miejsce wróci, nim
wszelka myśl skona
w skołatanym mózgu...
Bóg wyrzekł słowo: „Stań się"
Bóg i „Zgiń" — wyrzecze,
kiedy od belfrów litość wszelaka
uciecze
i każąc owo plemię, zbrodniami
zatrute,
Bóg napisze poemat, jak ja swą
„Redutę".

KERI MacRELA
(prawdziwe nazwisko i adres znane redakcji)
Fot. GABOR LÖRINCZY

sport

wio łomżyńskie konie

W roku 1978 Polski Związek Towarzystw Wioślarskich w Warszawie uhonorował Łomżyńskie Towarzystwo Wioślarskie pamiątkowym medalem „100-lecia Wioślarstwa w Polsce". Przyczyn tej decyzji upatrywać należy nie w uznaniu teraźniejszych zasług, lecz w szacunku dla sędziwego wieku Towarzystwa. W bieżącym roku, dokładnie 17 (30) sierpnia, ŁTW stuknie osiemdziesiątka. Piękny wiek — najstarszy klub sportowy w województwie, a jednocześnie jedno z najstarszych towarzystw w kraju.

Przed rokiem informowaliśmy o sytuacji Towarzystwa — nie wyglądała ona różowo. Obecnie trudności podobne jak przed rokiem: brak pieniędzy; wodniacy w dalszym ciągu na garnuszku Wojewódzkiej Federacji Sportu w Łomży, brak środków transportu, doszły jeszcze trudności ze zdobyciem paliwa. A jego brak to gorsza efektywność treningów i mniejsze bezpieczeństwo ćwiczących zawodników.

Znajome diabły z ostatniej strony tygodnika twierdzą, że im gorzej, tym lepiej. I w tym przypadku mają rację. Co nieco musiały podziałać, bo pomimo braków, o których wyżej, kajakarze szkoleni przez Józefa Olesia, a od niedawna również przez Czesława Rybickiego, podczas eliminacji strefowych w Białym Borze (koszalińskie) do finałów VIII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży wprowadzili aż jedenaście osad i jeśli diabły nadal będą miały ich w swojej opiece, to kajakarze zafundują na jubileusz jakiś medal.

Teraz proponuję czytelnikom trochę refleksji z historii Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego; nie tylko dlatego, że tak nakazuje obyczaj i szacunek wobec Jubilata, ale że w tradycji znaleźć można lekarstwo na aktualne bolączki.

We wstępnym artykule do historii ŁKS-u przytoczyłem fragment statutu ŁTW z roku 1901, więc — żeby nie powtarzać się — przypomnę krótko, że w przeszłości celem Towarzystwa było: *„zachęcić miejscową ludność do pływania łodziami wiosłowemi i żaglowemi"* oraz *„dostarczać swym członkom i ich rodzinom możności spędzenia wolnego od zajęć czasu wygodnie, przyjemnie i korzystnie"*. Aby to osiągnąć Towarzystwo *„ma prawo urządzać wyścigi i zabawy z illuminacją i muzyką, utrzymywać w lokalu swoim bufet i urządzać rozmaite gry jako to: domino, warcaby, bilard itp., prenumerować książki, gazety i czasopisma [...] tudzież ułatwiać naukę sportu gimnastycznego, pływania, łyżwiarstwa i jazdy na rowerze"*. Tak też powinno być i obecnie. Czy jest? Wioślarze i kajakarze uczestniczą w zawodach, tyle tylko, że nie w Łomży, gdzie zobaczyć ich można co najwyżej podczas treningów. Jeszcze kilkanaście lat temu na Narwi organizowane były regaty wioślarskie i wyścigi kajakarskie, a „na Jana" przystań pełna była publiczności przybyłej na festyn. Zaś przed wojną do dobrej tradycji Towarzystwa należało organizowanie wycieczek dla swoich członków, a na zawody przyjeżdżali wodniacy z Ostrołęki, Pułtuska i Warszawy. W sprawozdaniu z działalności Towarzystwa za rok 1913 były: *„zapasy sportowe podczas uroczystości »Wianków« przy nowym moście"*, następnie *„turniej Wioślarski 20-go Lipca"* oraz *„regaty 7 Września"*, a *„w roku sprawozdawczym* (1913 — przyp. red.) *odbyło się ogólnych zebrań 2, posiedzeń Komitetu, zabaw i zebrań Towarzyskich doszło do skutku: Zebrań Towarzyskich — 6, wycieczek zbiorowych do Kalinowa — 5, sportowych dalszych: do Druskiennik, o której w swoim czasie w pismach miejscowych były zamieszczane szczegółowe sprawozdania, do Krzewa — 3, do Siemienia — 6, do Ostrołęki — 1"* W tym czasie członkowie Towarzystwa korzystali *„z przystani rzecznej, której tabor ruchomy stanowił: pół-bąki »Biegun« i »Korsarz« — 2, hamburki z ruchomemi siodełkami »Korona« i »Litwa« — 2, hamburki zwyczajne »Jagienka«, »Danusia« i »Zorza« — 3, hamburki dwuosobowe, dwuwiosłowe, dębowe z odsadzanemi dulkami i ruchomemi siedzeniami — 2"*. Imiona łodzie — jak widać — miały bardzo patriotyczne.



Czasy o kilkanaście lat późniejsze tak wspomina były członek Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego, Tadeusz Kalisz: — Do ŁTW wstąpiłem w 1924 roku, jestem o rok młodszy od Towarzystwa. Swoją dobrą kondycję zawdzięczam temu, że zawsze, i dzisiaj jeszcze, pływam kajakiem. Przed wojną po pracy biegało się nad rzekę. Zanim wsiadło się do łodzi wyścigowej, trzeba było się nauczyć pływać i odbywać zaprawę na aparacie (duża krypa), potem na spacerówkach. Dopiero po dobrym opanowaniu sztuki wiosłowania, wsiadało się do wyścigówek. W czasach, gdy byłem zawodnikiem urządzane były zawody: otwarcia sezonu w pierwszą niedzielę maja z licznym udziałem społeczeństwa, następnie regaty na Święto Morza (29 czerwca), w lipcu turniej, a na zakończenie sezonu, we wrześniu tak zwany „Rekord". Życie w Towarzystwie było atrakcyjne. Urządzaliśmy dużo wycieczek. Zbierało się pięć lub sześć osad i płynęliśmy sobie do Krzewa, Siemienia, Zosina, Drożęcina lub dalej w dół Narwi. Tam wspólnie biwakowaliśmy, plażowaliśmy, a wieczorem — powrót. Nie wszyscy jednak wiedli sportowe życie. Starsi, których nazywaliśmy „Mamutami", grali całymi dniami w karty. Z kart Towarzystwo miało znaczny dochód.

Joanna Święcicka, członkini ŁTW od roku 1919, zostawiła po sobie następujący przekaz, spisany przez Bolesława Stupakowskiego: *„Dnia 24 czerwca 1919 roku były zorganizowane »Wianki«, wtedy ja po raz pierwszy stanęłam do regat. Trenerem naszym był Jan Wejmer, który również stał na sterze.*

Przystań ŁTW była bardzo ładna. Na dole pod przystanią były hangary dla łodzi. Górne piętro otaczała galeryjka, tam też była sala i szatnie. W szatni każdy członek miał swoją szafkę. Lokal zimowy znajdował się w mieście na Rynku, obecnie Plac Kościuszki. Była tam duża sala i pokój bilardowy. Na dużej sali odbywały się wieczorki taneczne, grano w karty, można było korzystać z bufetu. Życie towarzystkie rozpoczynało się od godziny piątej po południu [...] Pamiętam regaty z roku 1923. Z Warszawy i Ostrołęki przyjechało po kilka osad męskich i żeńskich. Faworytkami były panie z Warszawy, a my miałyśmy dużą tremę. Start odbył się z wyspy na rzece. Warszawianki ruszyły ze startu ślicznie, były dobrze wytrenowane. Ciągle myślałam aby nie zostać w tyle. Na metę jednak my przypłynęłyśmy pierwsze, o całą długość łodzi. Warszawianki nazwały nas »Łomżyńskie konie«. Rewanż w Warszawie też wygrałyśmy. Wtedy wioślarze Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego wskoczyli do wody i na ramionach wynieśli nas z łodzi. Otrzymałyśmy nagrody: dla nas żetony, dla ŁTW ryngraf. Przed tymi zawodami któraś z naszych pań podsłuchała jak pan Dziewulski z Warszawy pokazywał swojej żonie złote wiosełko i mówił, że to dla niej, ale okazało się, że to dla nas. Potem był bankiet. Chodziłyśmy dumne jak pawie! W naszej osadzie oprócz mnie startowały wtedy jeszcze: Świdońska, Luśka Roszkowska i, jednej nie pamiętam [...]"

W przeszłości w kasie Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego też bywało pustawo i imano się różnych sposobów, aby zdobyć pieniądze. Na *„Fundusz Towarzystwa składają się: 1) ze składek członków T-wa, 2) z opłat za grę w karty i inne, 3) kar pieniężnych za pozostawanie w lokalu T-wa poza czasem określonym, 4) z opłat wstępu od gości i 5) z opłat wstępu na urządzane przez T-wo zabawy płatne"* Ze wspomnianego sprawozdania z roku 1913 dowiadujemy się, że *„stan funduszów Towarzystwa przedstawia się następująco: przychód — 5002 ruble 59 kopiejek"* na co złożyły się między innymi, *„opłaty członów — 871 rubli 70 kopiejek, bilard — 218 rubli 6 kopiejek, karty — 864 ruble 60 kopiejek, zabawy — 137 rubli 25 kopiejek"*. Suma niebagatelna, ale i wydatki duże; rozchodowano 4980 84 kopiejki, w tym na budowę przystani — 2143 ruble 96 kopiejek, a oprócz tego Towarzystwo miało długi *„pożyczka bezprocentowa od członków — 850 rubli, niezapłacone należności dostawcom — 343 ruble 96 kopiejek"*.

Zaszczytem było uzyskanie członkowstwa Towarzystwa i prawa noszenia klubowego uniformu, który składał się z *„marynarki krojem cywilnym barwy granatowej, na dwa rzędy, na wyłogach kołnierza wyszyte srebrem wyobrażenie kotwicy, kamizelka takiej samej barwy jak marynarka, lub biała, spodnie granatowe, czapka granatowa, według wzoru angielskiego, z czarną jedwabną taśmą dokoła i prostym daszkiem, nad którym znak T-wa według zatwierdzonego wzoru"*. Uniform ten mógł być również koloru białego. Natomiast zwyczajny mundur składał się z bluzy barwy popielatej i takich samych spodni, kapelusza słomkowego z czarną jedwabną wstążką i szerokiego pasa rzemiennego. *„Statki T-wa używać będą flagi według wzoru Petersburskiego rzecznego Jacht-Klubu z umieszczonym w skrzydle wyobrażeniem herbu miasta Łomży, pod warunkiem wszakże, że projektowany rysunek flagi przedstawionym będzie JEGO CESARSKIEJ WYSOKOŚCI NACZELNIKOWI marynarki i zarządu morskiego na zatwierdzenie i do właściwego ogłoszenia"*. Również w statucie zawarowane było, że *„Łodzie T-wa mają obowiązek spieszyć na pomoc wszelkim statkom pozostającym w niebezpieczeństwie, jak również dopomagać do ratowania ludzi, tonących w Narwi, zwłaszcza podczas wylewów"*.

Ciekawe były zwyczaje porządkowe: *„przebywanie w lokalu Towarzystwa jest dozwolone do godziny 1 1/2 po północy. Osoby pozostające dłużej, płacą przy wyjściu karę na rzecz Towarzystwa w następującym stosunku: za pierwsze pół godziny kopiejek 30, za drugie kopiejek 90, za trzecie 2 ruble kopiejek 10, za czwarte rubli 4 kopiejek 50, za piąte rubli 9 kopiejek 30, za szóste rubli 18 kopiejek 90, za siódme rubli 39 kopiejek 10. W kwadrans po upływie ostatniego okresu zagrożonego karą lokal Towarzystwa zamyka się bezwarunkowo. Uwaga: od kar wyżej wymienionych wolni są członkowie dyżurujący Komitetu jako też ich zastępcy"*.

Piękne wzory: dbanie o formę, trzymanie się realiów życia; działania oparte na dobrych, solidnych, wypracowanych przez lata tradycjach, to czynniki wzbudzające szacunek i podziw społeczeństwa również w naszych czasach. Nie przekracza chyba możliwości Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego powrót do starego kalendarza imprez (maj, czerwiec, lipiec i wrzesień), charakterystycznego uniformu, tradycyjnych żetonów czy tak miłych drobiazgów jak znaczki i proporczyki. Czy takie działania nie zmiękczyłyby serc ojców miasta i nie wypędziłyby im przysłowiowego „żyda z kieszeni"?

WYMIATACZ

skrzyżOwania skrzyżOwania

— 310 zgłoś się! Masz wypadek na E-12 przy przejeździe w Sędziwujach! — Zrozumiałem, jadę!

Samochód milicyjnej służby ruchu drogowego rusza „z kopyta". Już po chwili spotyka, pędzącą z włączonymi sygnałami karetkę pogotowia. Na szosie pali się ciężarowy star, obok straszliwie zmasakrowany — duży fiat. Załoga karetki wspólnie z milicjantem odgina pogięte blachy, z najwyższym trudem wydobywa bezwładne ciała kierowcy i pasażera. Strażacy gaszą płonącą ciężarówkę, w której pękł zbiornik z paliwem, dymią przewożone nią dywany; wreszcie ogień zamiera pod szczelną pokrywą piany. Karetka z jękliwym sygnałem odwozi ofiary do szpitala, odjeżdża i wóz strażacki.

Milicjant zwija się jak w ukropie, kieruje ruchem na niemal całkowicie zatarasowanym odcinku jezdni. Korzystając z chwilowej przerwy w ruchu, przez radiotelefon ponagla bazę, aby powiadomiła macierzyste przedsiębiorstwo stara. — Już wiedzą, niedługo przyślą dźwig — uspokaja baza. Mijają godziny, z nieba leje się żar. W pobliżu ani drzewka, ani krzaczka, żadnego ocienionego miejsca. A dźwig ratowniczy nie nadjeżdża. Trudno utrzymać przejezdność na zwężonej jezdni. Zatrzymują się samochody, kierowcy się gapią, tamują ruch. Prowadzący ciężarówkę z naczepą, nie zważając na wyraziste gesty funkcjonariusza dopingującego do odjazdu, wychyla się z szoferki, ogląda do tyłu — i omal nie zderza się z jadącym mu naprzeciw żukiem. Spocona twarz człowieka w mundurze zdradza rosnące zmęczenie. Od ponad pięciu godzin biega i wymachuje rękami.

— A bo to przecież od 10.00 do 12.00 strajk — komentuje ktoś z obserwatorów. — Dźwig pewnie ruszy dopiero po jego zakończeniu.

dzień jakich wiele

— Panie, strajk strajkiem, a tu znowu mogą być jatki — replikuje inny.

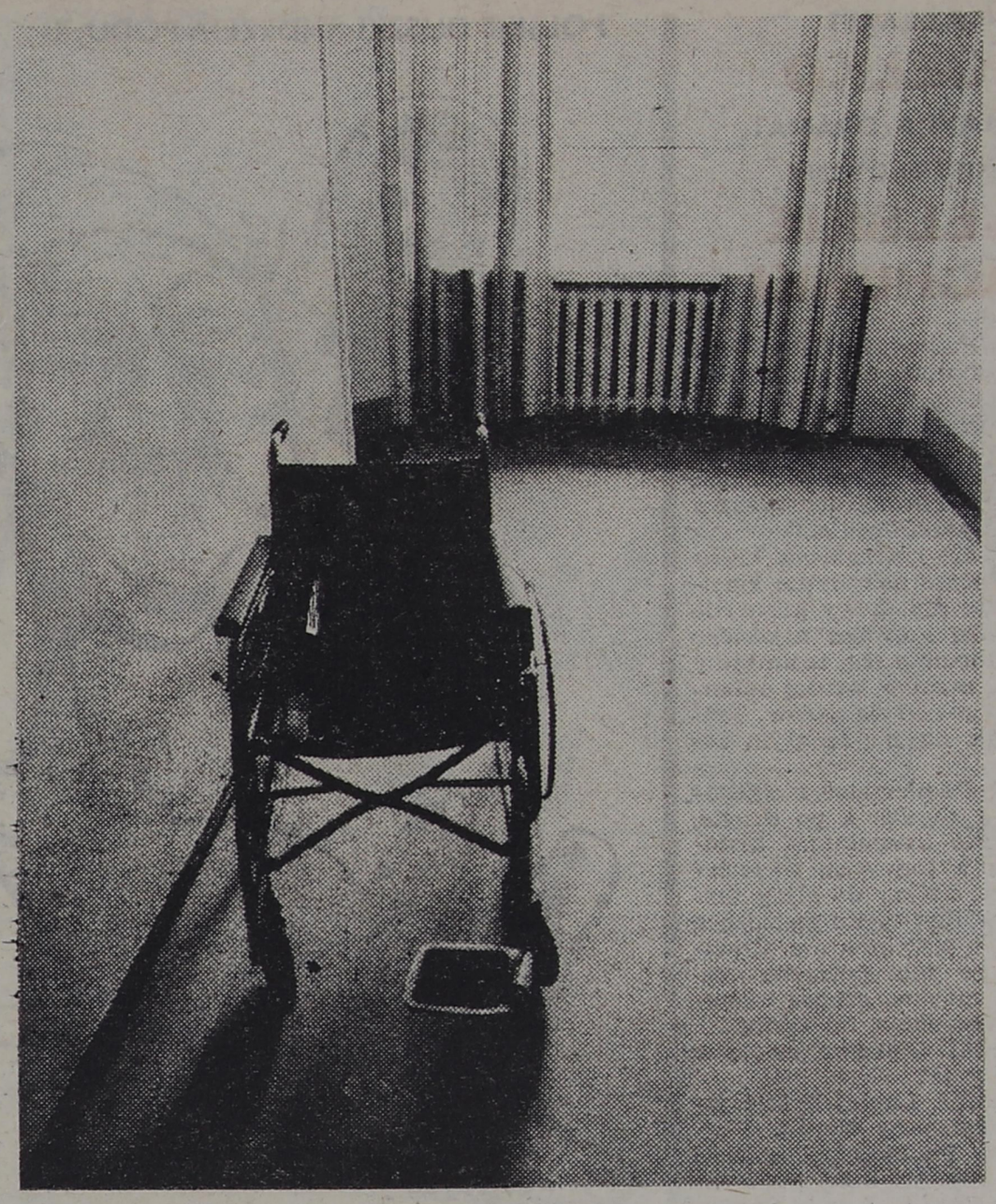
Podjeżdża drugi funkcjonariusz. — Pasażer zmarł, kierowca w ciężkim stanie — informuje kolegę. Zjawia się oczekiwany dźwig. Milicjanci pomagają doczepić to, co zostało z fiata. Z kabiny, przejeżdżającego monstrualnych rozmiarów volvo, młody człowiek mówi do milicjanta: —Zwróć pan uwagę na tego motocyklistę z tyłu, on jakiś trefny, może na bani.

Milicjant dziękuje, nie może jednak opuścić posterunku kierowania ruchem, jest znowu sam. W oddali rzeczywiście widać motocykl, który nagle skręca w polną drogę i znika.

Powraca dźwig, ściąga na pobocze wypalony wrak stara, ryjący głęboką bruzdę w asfalcie pozbawionymi opon obręczami. Kierowcy uprzątają z jezdni odłamki szkła, blachy, milicjant małą łopatką zasypuje piaskiem kałuże oleju. Widać płat spalonej nawierzchni jezdni. Kilku ludzi z rowerami i grupka dzieci snują się po drodze. Apel, by zeszli z jezdni, nie skutkuje. Funkcjonariusz ponagla powtórnie, rowerzyści z ociąganiem oddalają się. Hamuje samochód. Przyjechało kierownictwo firmy przewozowej. Liczą nadpalone dywany, dyrektor dziękuję milicjantowi za pomoc, wypytuje o przyczynę katastrofy.

— Kierowca fiata albo zasnął, albo nastąpiła awaria układu kierowniczego jego pojazdu. W efekcie niespodziewanie zjechał na lewy pas i staranował ciężarówkę.

Na niebieskiej bluzie występują mokre plamy, biała czapka straciła swą biel sprzed kilku godzin. Grzbietem dłoni milicjant ociera pot z czoła. — Cóż, dzień jakich wiele — mówi.



Wypadek, którego skutki oglądałem, nie był bynajmniej czymś rzadkim. W lipcu na drogach łomżyńskiego wydarzyło się 37 podobnych. Przyniosły one śmierć 12, a obrażenia ciała 48 osobom. Przyczyny takie jak zwykle — nieuwaga, brak opieki nad dziećmi, beztroska pieszych, alkohol. Lecz źródłem owych przyczyn, czas to powiedzieć otwarcie, jest załamanie się dyscypliny społecznej. Dziś coraz rzadziej prawo bywa hamulcem dla nieodpowiedzialnych, bezmyślnych zachowań ludzkich. Króluje maksyma, która głosi, że przepisy istnieją po to, by je naruszać. Ale w ten sposób daleko nie zajedziemy!

DYŻURNY DROGOWSKAZ
Fot. Gabor Lörinczy

redaktor naczelny Stefania Henczelowa – zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko – sekretarz redakcji Maurycy Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter – Gabor Lőrinczy Redaktor – Elżbieta Słupska, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz Alicja Basta Jerzy Bielecki, Jacek Grün, Wiesław Janicki Andrzej Zbigniew Siedlecki Waldemar Szpaliński Andrzej Tchorzewski Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski Teresa Polecka Zbigniew Woźniak, Klemens Krzyżagórski, Piotr Kuncewicz Marek Kusiba Włodzimierz Pawluczuk Prasowe w Białymstoku, Druk Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 1263/81. Nakład 20.000 A-8 PL ISSL 0208-6840 Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Ruch" Białystok, ul. Sadowa 10 tel. 34-95 40-32 telex - 853249 WYDAWCA: RSW Prasa Książka-Ruch" Oddział w Łomży 18 400 Łomża ul. Sadowa 10 tel. 34 95 10 29 Red. tyg. Kontakty na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności

13.08.1981 TV 19.08.1981

CZWARTEK 13.08.1981 R.
PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii — „Pan Tau". 17.05. Program dnia. 17.10. Dziennik TV. 17.30. Informator turystyczny. 17.45. „Mieszkaniowe progi" — program publicystyczny. 18.20. „Powietrznym szlakiem..." — program wojskowy. 18.50. Dobranoc. 19.00 „Sonda". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Publicystyka DT. 20.15. Rolnicze rozmowy. 20.25. „Aniołki Charliego" — „Będą mnie pamiętać". 21.20. „Pegaz". 22.05. „Śledztwo zostało wznowione". 22.35. Dziennik TV. 22.50. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00 „Rodowody". 20.30. Koncert WOSPRiT w Katowicach. 21.40. 24 Godziny. 21.50. „Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny". 22.15. „Gdyby nie piosenka" — program rozrywkowy.

PIĄTEK 14.08.1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie — „Kraj w zielone" i „Pan Tau". 16.55. Program dnia. 17.00. Dziennik TV. 17.30. „W kręgu rodziny". 17.55. „Wesołe melodie" (7). 18.20. „Skarbiec". 18.50. Dobranoc. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Monitor Rządowy. 20.30. „Przyjaciele" (4) — „Nauka". 21.50. „Listy o gospodarce". 22.35. Dziennik TV. 22.50. Filmowe Studio im. Andrzeja Munka — „Książę" w reż. Krzysztofa Czajki.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00 — „Dzielna z Pakistanem" — filmy dokumentalne. 21.00. „Wynalazca poszukiwany". 21.30. 24 Godziny. 21.40. „Pegaz Młodych". 22.10. „Pieśń wiecznie żywa" — film dokumentalny.

SOBOTA 15.08.1981 R.
PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii — „Pan Tau". 9.30. „W żołnierskim rytmie" — film dokumentalny. 10.15. Klub Sześciu Kontynentów. 11.00. STUDIO 2. 11.05. Magazyn pana Manna. 11.45. „Co słychać w Polsce?". 12.45. „Kino-Oko". 13.45. „Pieszo bliżej". 14.30. W Starym Kinie — „Czy Lucyna to dziewczyna". 16.00. Dziennik TV. 16.30. „Królowie życia" — zespół „Kombi". 17.15. Puchar Europy w lekkiej atletyce. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Maria Antonina" — „Plaga Francji" — (ostatni odcinek). 21.55. Samorząd robotniczy. 22.40. Dziennik TV. 23.10. Kino Nocne: „Od dziś na zawsze" z serii „Ulice San Francisco"

PROGRAM II

14.10. Program dnia. 14.15. „Brama morska" — radziecki film obyczajowy. 16.05. Lubelska Wiosna Teatralna. 16.35. Popołudnie Przygody i Podróży. 18.05. „Portret ze wspomnień" (ostatni odcinek). 19.30. Dziennik TV. 20.00. Kabarety studenckie. 21.05. „Solo i w ducie". 21.35. 24 Godziny. 21.45. „Telefon 110" — „Przestępstwo prawie doskonałe". 22.55. Poeci i ich wiersze — Ludmiła Mariańska.

NIEDZIELA 16.08.1981 R.
PROGRAM I

7.20. Alarm przeciwpożarowy trwa. 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00. „Tydzień" — magazyn Redakcji Rolnej. 9.00. Telewizjada. 9.30. Kino Teleranka — „Przygoda z Mimi". 10.40. Program dnia. 10.45. „Antena". 11.15. „Świat wokół nas" — „Tajemnice lotu". 12.10. Dziennik TV. 12.55. Telewizyjny Koncert Życzeń. 13.40. „Na chłopski rozum" — program Redakcji Rolnej. 14.10. „Z kamerą wśród zwierząt" — „Handel żywym towarem". 14.40. „Zgadnij, kim jestem" — teleturniej. 15.35. Reportaż filmowy. 16.05. Teatr Wspomnień — Pola Gojawiczyńska: „Dziewczęta z Nowolipek" (3), „Bronka". 17.10 Puchar Europy w lekkiej atletyce. 19.20. Dobranoc. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Rodzina Boussardelów" (2) — „Małżeństwo Wiktora". 22.15. Sportowa Niedziela.

PROGRAM II

10.45. Program dnia. 10.50. „Krótkofalowcy". 11.20. Przeboje tygodnia. 12.20. Film fabularny. 13.50. Teatr Wspomnień — Juliusz Słowacki: „Balladyna". 16.00. „Wojna światów" Józefa Skrzeka. 16.35. „O rzeczach pięknych i rzadkich" — czechosłowacki film dokumentalny. 17.05. Koncert Ludmiły Zykiny. 17.35. Popołudnie Fauny i Flory. 18.20. Mikołaj Rimski-Korsakow: „Sadko" (3). 19.30. Dziennik TV. 20.00. Telewizyjny music-hall. 21.00. „Kultura 81" — biblioteki. 21.40. Filmy Stanisława Różewicza: — „Miejsce na ziemi".

PONIEDZIAŁEK 17.08.1981 R.
PROGRAM I

16.55. Program dnia. 17.00. Dziennik TV. 17.30. „Ród Gąsienicow" (1) — „Franek, syn Pawła Gąsienicy", serial w reż. Konrada Nałęckiego. 18.30. „Dom i my" — poradnik. 18.50. Dobranoc. 19.00. Echa stadionów. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.10. Teatr Telewizji na Świecie — William Szekspir: „Juliusz Cezar" (2). 21.30. „W otwarte karty" — program publicystyczny. 22.00. Śmigłowcowe mistrzostwa świata. 22.30. Dziennik TV.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Dzień Rumuński w Telewizji Polskiej. 21.30. 24 Godziny. 21.40. Dzień Rumuński w TP.

WTOREK 18.08.1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie — „Pan Tau". 16.55. Program dnia. 17.00. Dziennik TV. 17.30. „Przyroda i postęp". 18.00. Polska Kronika Filmowa. 18.10. Telewizja Młodych — CDN. 18.50. Dobranoc. 19.00. Klinika Zdrowego Człowieka. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Studio Sport. 21.50. Forum ekonomistów. 22.35. Dziennik TV. 22.50. „Zacznijmy od Mony Lizy".

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „30 sekund nad Tokio" — amerykański dramat wojenny. 21.35. 24 Godziny. 21.45. „Na śląskim Wawelu". 22.15. Wtorek Melomana.

ŚRODA 19.08.1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie — „Pan Tau". 16.55. Program dnia. 17.00. Dziennik TV. 17.40. „Giełda". 18.00. Magazyn motoryzacyjny. 18.15. Śmigłowcowe mistrzostwa świata. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Wyspy Hiszpanii" — Palma. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Karol Marks — lata młodości" (ostatni odcinek). 21.15. „Wierność wobec zmienności" — w 6 rocznicę śmierci Konrada Swinarskiego. 22.45. Dziennik TV. 23.00. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.05. Kosmos 1981. „Barwy lata" — film przyrodniczy. 20.15. „Prawo do przyrody". 20.30. „Ludzie pustyni" — film dokumentalny. 20.45. „Podróż ku światłu". 21.00. „Rodzina na wirażu". 21.30. 24 Godziny. 21.40. „Zwiastun pogody" — film popularnonaukowy. 22.00. „Wiek nieoświecony". 22.10. „Nie do wiary" — psychokineza po pięciu latach. 22.40. „Prywatne piekło". 22.50. „Moda na porywanie" — parodia filmów gangsterskich.

KOMUNIKAT

WOJEWÓDZKA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA w ŁOMŻY, ul. Mickiewicza 12

uprzejmie prosi

wszystkich członków i kandydatów spółdzielni zarejestrowanych w spółdzielniach podstawowych województwa łomżyńskiego i w Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży O DOKONANIE AKTUALIZACJI WSZYSTKICH INFORMACJI PRZEKAZANYCH WE „WNIOSKU O PRZYDZIAŁ MIESZKANIA".

W przypadku niedostosowania się do powyższego wymogu do dnia 15 października 1981 r. Zarządy Spółdzielni nie będą miały możliwości rozpatrywania spraw mieszkaniowych tych osób.

K 2860-1

WYSTAWY

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): wystawa mlarstwa Jerzego Marosza

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): „Ulica w Łomży" — pocztówka niemiecka z 1915 roku.

Galeria Jednej Fotografii, ul. Sciegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Wojciech Białecki — „Łoś z Czerwonego Bagna".

DOMY KULTURY

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: 10—11 VIII, godz. 19 — występ zespołu „Brak".

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ciechanowcu: 16 VIII, godz. 15 — koncert dla turystów w wykonaniu zespołów ośrodka kultury.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Goniądzu: warsztaty muzyczne dla amatorskich zespołów estradowych.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: 14 VIII i 19 VIII — „Czerwony Kapturek zaprasza dzieci na popołudnie z bajką"; 15 VIII — „Wczasowe spotkania z kulturą" (estrada nad jeziorem).

Gminny Ośrodek Kultury w Szepietowie: 13—19 VIII — wystawa rzeźby amatorskiej.

Gminny Ośrodek Kultury w Wąsoszu: 13 VIII, godz. 17 — nauka tańca dla dzieci.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Zambrowie: — wystawa prac plastycznych Antoniego Jadackiego.

Klub Dyskusyjny „Starcia" zaprasza na publiczną rozmowę z wybitnymi socjologami i działaczami społeczno-politycznymi o kulturze i kulisach władzy już w sobotę (15 bm.) o godz. 11.00 w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.

Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.

Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej w dni wolne od pracy: 15 VIII — ASO Polmozbyt w Łomży, Szosa do Mężenina, tel. 52-46; 16 VIII — ASO w Grajewie, ul. Marchlewskiego 33a, tel. 24-22.

Ogłoszenia drobne

UROCZĄ rezydencję z wygodami nad Narwią (taras z pięknym widokiem), garaż z gościnnym pokojem, ogród 50 arów (uprawny), całość ogrodzona, dobry dojazd do Łomży — okazyjnie sprzedam lub zamienię na mieszkanie własnościowe w Łomży bądź w Białymstoku Oferty zgłaszać: Antoni Zambrzycki, Rakowo Czachy, 18-446 Piątnica, woj. łomżyńskie lub tel. 74-95 Łomża.

g 3066-0

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury", Olsztyn 2, skrytka 336.

K 1466-0

KONTAKTY

pokusy
pod redakcją Andrzeja Koziary
organ samoistny

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Trzy diabły Supraski, Biebrzański i Narwiański, skupiły się wokół Bużańskiego, który siedzi przy kole garncarskim. Dojlicki z braku innego wyjścia próbuje się leczyć w grajewskim szpitalu, w związku z czym jest nieobecny usprawiedliwiony, a nawet godzien pożałowania.

SUPRASKI: Co kuliega tak krenci i krenci? Parzystnokopytne krencom w parzyste dni, a wy krencicie już trzecią dobę i to bez nijakiego tankowania. Rozumie sie, że ambitny diabeł krencić musi w każdej sytuacji, ale żeb od razu tyle garów. Tylko patrzeć, jak się nie-świętym zostaniecie!

BUŻAŃSKI: Po pierwsze, nie garnki pospolite, a siwaki, a po drugie, nie kręcę, tylko uzupełniam historyczną lukę w ludowym wytwórstwie Kurpiów, którzy do gliny serca nie mieli — furt tylko gwiżdżące ptaszki lepili, a siwaków nie. Chwila jest taka, że nam potrzeba czegoś na miarę czasów, czegoś monumentalnego, twardego, w ogniu...

NARWIAŃSKI: Ciekawe, co też w te garnki włożycie?

BIEBRZAŃSKI: Lepiej byście jakiś medal dwustronny ulepili.

SUPRASKI: Po mojemu garnki udane so. Jakby im uchi podoczepiać, to i w Cepelii dopóty-dopóki służyć mogom.

BIEBRZAŃSKI: Albo żniwiarzom do noszenia strawy duchowej...

BUŻAŃSKI: A czemu wy nie przy żniwach?

SUPRASKI: Nie pomieścilim się. Na polu jak nie stonka, to hufce OHP albo ekipa Dziennika TV — miejsca nie ma.

NARWIAŃSKI: Uprawiamy teraz kulturę zbieracką. Tradycje, klimat, baza i nadbudowa nam sprzyjają. Zbiera się poziomki, maliny, grzyby, zioła, a z miąs — ślimaki i żaby.

SUPRASKI: Żaby tylko do wiosny...

BIEBRZAŃSKI: Coście się tak rozmarzyli, poetą chcecie zostać?

NARWIAŃSKI: Poezja, szczególnie ludowa, nie od dzisiaj zajmuje się reglamentacją. Poeta niejedno rzeczuje. Taki na przykład Bolesław nomen omen Rachubka pisze:

„Za stołem panienki, pod stołem mężatki,
u kominka wdowuleńki, a za piecem babki.
Pannom wina, pannom, a miodu mężatkom,
kwaśne piwo wdowuleńkom, a poliwki babkom.
Scupaka panienkom, karasia mężatkom,
drobne rybki wdowuleńkom, a zabecki babkom.
Białe róże pannom, tulipan mężatkom,
polne kwiaty wdowuleńkom, a pokrzywy babkom.
Kareto panienki, powozem mężatki,
drabnym wozem wdowuleńki, a tackami babki.
Pałace panienkom, a domy mężatkom,
drobne domki wdowuleńkom, a chałupy babkom.
Do nieba panienki, do raju mężatki,
do cyśca wdowuleńki, a do piekła babki".

SUPRASKI: I tym sposobem wszyscy majom po równo...

BUŻAŃSKI: Ale cośmy się zestarzeli, tośmy się zestarzeli. Krugom babki. wdowuleńka gdzieniegdzie jak rodzynek, a panienki to już tylko w specjalnych rezerwatach.

POLSKIE DUSZKI ANDRZEJA PODULKI



PODSŁUCHIWACZ PLOTKARZ

Ma łatwo zauważalne uszy, którymi bez większych trudności chwyta wszelkiego rodzaju plotki, aby następnie puścić je w obieg. Ostatnio można go spotkać na każdym kroku, głównie w kolejkach po artykuły spożywcze. Jak widać z wyrazu jego twarzy, nie unika też stania w kolejkach po alkohol, co powoduje, iż poglądy głoszone przez Plotkarza nie są całkowicie trzeźwe.

LEKTURY

SZARLATAN?

— Co to za preparat? Zioła?
Przyglądał mi się uważnie.
— Nie, pająki. Jadowite pająki. Karakurt i inne takie...
— A co on z nimi robi? Gotuje?
— Rozpuszcza je w...
— Spirytusie?
— Trzyma je na słońcu. Kiszą się we własnym sosie, że tak powiem.
— Gurow uśmiechnął się.
— I chorzy to piją?
— Nie. Robi im zastrzyki. W pośladek.
Wzruszyłem ramionami.
— Gwarantowane zakażenie krwi — mruknąłem.
Gurow milczał.
— Czy on ma wykształcenie medyczne? — zapytałem.
— Był na medycynie, ale wyleli go po trzecim roku.
— Za co?
— Mówi, że za idee".

Jest to fragment, wydanej nakładem Czytelnika, książki Aleksandra Borina pod tytułem „Szarlatan?". Znak zapytania w tytule towarzyszy czytelnikowi przez wszystkie strony zapisu sensacyjnego procesu przeciwko człowiekowi, który wpadł na trop lekarstwa na raka. Oskarżony, wstrzykując chorym nalewkę na jadowitych pająkach, uratował kilkanaście osób, skreślonych z listy żywych przez oficjalną medycynę, przy czym uśmiercił trzy zarażając je tężcem. Pytań jest wiele: dlaczego nalewka na pająkach w ogóle działa, czy można podejmować śmiertelne ryzyko, gdy gra idzie o tak dużą stawkę, jak wobec „uzdrowiciela", którego opinia publiczna skłonna jest uznać świętym, ma się zachować nauka, prawo?

Czyta się jednym tchem.

Aleksander Borin: „Szarlatan?" — Czytelnik, Warszawa 1981. Tłumaczył Andrzej Szymański. Stron 120, cena zł 15.

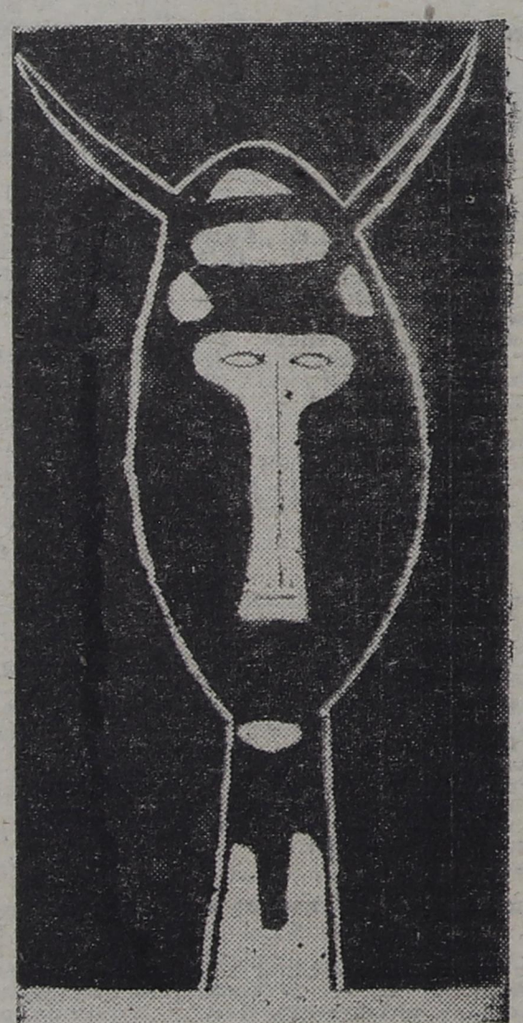
Sennik — przepowiednie niechybne

CELĘ WIĘZIENNĄ WIDZIEĆ

Cebulę widzieć — dużo obmów niesłusznych
Celę więzienną widzieć — strzec się złych ludzi
Cegielnia — niedola
Cegły — rozczarowanie
Cepy — będą zatargi z nieznanymi ludźmi
Cerata — świetna znajomość z wysokimi ludźmi
Cerować — podróż
Chata — będziesz oszukany przez krewnych
Chałupa — utrata stanowiska lub majątku
Charty — będziesz prześladowany
Chleb pokrajany — liczne rodzeństwo; chleb nosić — stracony spokój; chleb biały — dobry byt; chleb jeść — honor uratować; kupować — powodzenie; piec — dostatek w domu.
Chlew — niemiłe towarzystwo
Chłop — miłe niespodzianki od znajomych
Chmiel widzieć — ktoś z rodziny się ożeni; chmiel rwać lub siać — dobry zysk
Chmury — kłótnie i sądowe sprawy; chmury ciemne — przegrasz; chmury jasne — wygrasz
Cholewa — świetny interes

Powstaje unikalne muzeum

WITAJCIE STRASZYDŁA I DEMONY



Inicjatywa „Kontaktów" stworzenia w Łomży unikalnego Muzeum Straszydeł, Demonów i Niesamowitości wzbudza coraz większe zainteresowanie. *„Pomysł zwariowany — pisze jedna z czytelniczek — ale z takich zwariowanych, powstających jakby dla zabawy pomysłów, bywa, rodzą się rzeczy o nieprzemijającej wartości. Dlatego z żarem równym piekielnemu — popieram waszą inicjatywę. Dziś słowem, a wkrótce czynem (szykuję zaskakujący dar dla przyszłego muzeum!)".*

Nim przedstawimy kolejnego ofiarodawcę — przypomnienie: patronujące rodzącemu się muzeum „Kontakty" przyjmują bez żadnych ograniczeń i w obojętnej postaci — wszelkie maszkary, czarownice, diabły, strachy, dziwadła oraz albumy, książki, dokumenty i opowieści z nimi związane. Hojność zostanie nagrodzona wpisem do „Złotej Księgi Ofiarodawców". Każdy wpis wraz ze zdjęciem eksponatu opublikujemy na łamach naszego tygodnika.

Dziś następujący dar: Graficzny portret diabła (na zdjęciu) w wykonaniu znanego wrocławskiego plastyka, Andrzeja Willa. Ofiarodawca: Henryk Gała, poeta, członek ZLP, zamieszkały w Łomży. Poniżej treść dedykacji:

„»Kontaktom« na zaczyn dobry diabelnie fajne sprawy.
Henryk Gała

Ps. Niech was diabli... jeśli wyjdzie wam z tego most przez Narew, będzie to dowód na istnienie sił nadprzyrodzonych.

Łomża, 28 lipca 1981 r".

PANIE...

...celowo nie tytułuję Pana — Szanownym Redaktorem, jak każe obyczaj. Nie, to słowo w odniesieniu do Pana nie spłynie z mojego pióra, choćby mi to za złe policzono. Myślę jednak, że przeciwnie, po stronie poczciwych uczynków list mój zapisany będzie, jeśli nie tylko szanowności Panu odmówię.

Ogłosił Pan oto powołanie muzeum szkaradzieństwa i wszeteczności!

Mało było w periodyku, którym Pan kierujesz, całą stronę na tematy paskudne zapisywać i wizerunki paskudztwa tam zamieszczać? Nie wystarczyło figurę kopytną i ogoniastą z rogatą fizys malować w umysłach prostaczków, co — z braku innego — Pańskie obmierzłe piśmidło kupować musieli? A teraz namawiasz ich Pan do gromadzenia w jednym miejscu wiadomych (nie, słowa gatunek ten określającego nie użyję, nigdy!) przedmiotów, figur, rysunków i innych, podobnych tworów chorej wyobraźni. Sam Pan z domu pozbyłeś się fai z rzeźbką taki pomiot przedstawiającą, żeby innych podbechtać i tę rozproszoną ohydę w redakcji zebrać i lubować się nią wstrętnie. I to gdzie? W Łomży, dokąd drugi już raz posłany jestem. (Pierwszy za czasów gubernialnych, a teraz odkąd województwo tu osadzono).

Mylisz się Pan jednak myśląc, że uda się Panu tę piekielną (cii...) kolekcję zgromadzić. Nawet jeśli nie wydrukujecie tego listu, starczy piór w moich skrzydłach na wypisywanie ulotek i pism. I do Was też będę pisał. Załatwię sobie drugą parę skrzydeł, pożyczę od brata Białostockiego (on pisuje raz na miesiąc i ma wielkie oszczędności w piórach), a pisać nie przestanę.

Niech Pan tylko nie myśli, że ja się złoszczę. Nic podobnego, trochę mnie poniosło, uniosłem się po prostu, co w moim przypadku nie powinno dziwić. Czy nie lepiej zająć się rzeczami pożytecznymi, Panie Redaktorze? Oto propozycja tematów, od których, jak się to mówi, aż piszczy w różnych środowiskach łomżyńskich: wysłać ekipę foto- i reporterską do „dziupli", czyli Klubu Galerii „Pod Arkadami", gdzie odbyć ma się kolejne spotkanie z udziałem władz i ich asystentów z okazji otwarcia zeszytu 16-kartkowego (w linie), zainicjować obchody 15 rocznicy oberwania się rynny na budynku przy ulicy Sadowej lub Wojska Polskiego albo... (tu wpisać nazwę dowolnej ulicy w Łomży), powołać społeczny komitet budowy pomnika 25-lecia niedotrzymania obietnicy odbudowy browaru w Drozdowie. Mało? Na dziś wystarczy. Proszę sobie to przemyśleć.

JAN BALDRIAN, OHP